Ilustracja Polska

we Francji

Nr. 229. 21-go stycznia 1940 r. — Le 21 janvier 1940 Rok X.

Cena — Prix
We FRANCJI . . . 1,5
En FRANCE . . frs.
W BELGJI 2.0
En BELGIQUE fr. b.
W HOLANDJI . . . 0.1
En HOLLANDE guld.

ADRES
Redakcji i Administracji:
LENS (Pas-de-Calais)
101, Rue Emile - Zola, 101

Prezydent Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny wśród polskich żołnierzy

Prezydent Polski, p. Władysław Raczkiewicz oraz premier i wódz naczelny polskich sił zbrojnych, p. gen. Władysław Sikorski, odwiedzili ostatnio ośrodek armii polskiej we Francji, gdzie naocznie przekonali się o postępach w organizacji armii, wspaniałej postawie i świetnym duchu żołnierzy, podoficerów i oficerów. Oddziały armii polskiej, tworzonej z wielkim pośpiechem lecz równocześnie z wielką dokładnością, niebawem będą gotowe do walki, aby przyczynić się do pokonania wrogów i wyzwolenia Ojczyzny i jego ludu z pod jarzma okrutnych zaborców.

Prezydent R.P. i Wódz Naczelny przed frontem kompanii honorowej
(Foto: Witczak, Paryż — 34.196)

Moment defilady. Foto: Witczak, Paryż — 34.177

Treść nr. 229

Na ziemi francuskiej, jak u siebie...
Zdjęcia z wigilii żołnierzy i uchodźców polskich. — Teatr Armii Polskiej. — Jasełka w Barlin.

Poznań, miasto najbardziej polskie, Niemcy chcą mieć miastem germańskim.
O terorze niemieckim w Poznaniu. — Polska przeszłość stolicy Wielkopolski.

Bajeczne bogactwa Indii.
Skarby, z których czerpać może Anglia na pokrycie kosztów wojennnych.

Finlandia w przeszłości i teraźniejszości.

Wiersze Czytelników i Czytelniczek.
Żołnierze polscy gośćmi wychodźców. — Nabożeństwo żałobne za duszę śp. Romana Dmowskiego.

Milion w złocie.
Odcinek bardzo ciekawej powieści.

Jak żyje krwawy dyktator Sowietów?
Mało znane szczegóły z życia codziennego Stalina.

Schronisko w którym straszy.
Nowela. — Humor.

Pustynna Sahara zamienić się może w urodzajną ziemię.
Sztuczne morze użyźni martwy piasek.

Ciekawe drobiazgi.
Z nędzarza wielokrotnym milionerem. — Świecące parasole. — Fajka w oku. — Hodowcy robaków. — — Zegarek - termometr. — Paszport na nogach. — Jak się robi zdjęcia pod wodą. — Kobra najinteligentniejszym wężem.

Dla dzieci i młodzieży.
Zwierzyniec pana Paska. — Ratujcie, duch. — Elżunia.

Z wojny na Zachodzie.
(Zdjęcia).
Wojna na Dalekim Wschodzie.

Kop 1792

Na przyjaznej ziemi francuskiej, jak u siebie...

Niezapomniana dla żołnierza chwila... łamanie się opłatkiem z wodzem naczelnym.
(Foto: Witczak, Paryż — 34192)

Gen. Haller przemawia w czasie wieczerzy wigilijnej uchodźców polskich we Francji.
(Foto: Witczak, Paryż — 34183)

Uchodźcy polscy we Francji spożywają wieczerzę wigilijną, w której uczestniczył również gen. Haller.
(Foto: Witczak, Paryż — 34180).

Fragment Jasełek, odegranych w obozie armii polskiej, w obecności prezydenta Raczkiewicza i gen. Sikorskiego.
(Foto: Witczak, Paryż — 34820).

Ci, którzy do szarego życia żołnierskiego wnoszą urozmaicenie.... Zespół Teatru Armii Polskiej po pierwszym przedstawieniu. (Foto: Witczak, Paryż — 5.069/2)

Wieczerza wigilijna, której uczestnicy nigdy nie zapomną. Nie było na niej Polaka, któryby nie wyraził życzenia, by następną wigilię spędzić już na ziemi ojczystej... — Przemawia prezydent Raczkiewicz, mający po prawej gen. Denain, szefa francuskiej misji wojskowej przy armii polskiej, po lewej gen. Faury. Naprzeciw Prezydenta gen. Sikorski, obok ks. biskup polowy, Gawlina.
(Foto: Witczak, Paryż — 34819)

Jasełka polskie w Barlin (P. de C.)

„Apoteoza Polski" (B.I. 5021)
„Kołysanka" (B.I. 5022) ⟹

Poznań, miasto najbardziej polskie Niemcy chcą mieć miastem „germańskim"

Paryż, w styczniu 1940 r.

Ostatnio nadeszły z Polski wiadomości o straszliwym terorze, uprawianym przez Niemców w Polsce zachodniej, a przede wszystkim w Wielkopolsce. Masowe rozstrzeliwanie i wywożenie w głąb Rzeszy inteligencji, mordowanie elity ziemiańskiej, wysyłanie do obozów koncentracyjnych przywódców miejscowego społeczeństwa, nie oszczędzanie nawet kobiet i dzieci, wraz z brutalnym wyrzucaniem Polaków z mieszkań i usuwaniem ich z Poznania **wstrząsa sumieniem każdego uczciwego człowieka.**

Polityka teroru, bezwzględne tępienie wszystkiego co polskie i mordowanie bezbronnych mieszkańców Poznania, ma na celu jak najszybsze zgermanizowanie tego najbardziej polskiego miasta w tym przekonaniu, że dla opanowania Wielkopolski najważniejszym jest nadanie jej stolicy charakteru „germańskiego". Niemcy głoszą, że Poznań zawdzięcza całą swą kulturę Niemcom, że tak w przeszłości historycznej, jak również przed poprzednią wojną światową swój rozkwit opierał na pracy niemieckiej; natomiast 20 lat w ramach państwowości polskiej zaznaczyło się widocznym upadkiem Poznania pod każdym względem. Dopiero teraz, pod rządami niemieckimi nastąpi dla Poznania świetna era jego rozwoju.

Łącznie z powyższym, pragniemy poświęcić kilka uwag Poznaniowi: jego przeszłości historycznej, roli jaką odgrywał przed wojną za czasów niemieckich i po wojnie za czasów polskich.

Wspomnienia historyczne.

Poznań sięga swym początkiem wieku X. Położony nad rzeką Wartą stanowił gród warowny; miał w nim swoją siedzibę pierwszy król polski Mieszko I, który otoczył tę najstarszą stolicę Polski palisadą i wałami. W roku 1938 i w roku 1939 prowadzone prace wykopaliskowe przez wydział prehistorii Uniwersytetu Poznańskiego, odkryły doskonale zachowane na kilka metrów pod ziemią resztki owych wałów i palisad obronnych.

Ponieważ położony między odnogami Warty, Poznań nie mógł się rozwijać, przeto w r. 1253, król Polski Przemysław I, wznosi na lewym brzegu Warty gród nowy. Gród ten otacza murami obronnymi Kazimierz Wielki. Ich pozostałości zachowały się do dziś. W wieku XIX, rząd pruski zburzył mury historyczne, otaczając Poznań szerokim kręgiem fortów.

Na każdym kroku znajdują się w Poznaniu historyczne i kulturalne pamiątki polskie. Natomiast niema żadnych, które świadczyłyby o wpływie Niemców na rozwój kulturalny czy nawet gospodarczy tego miasta. Najpiękniejszą pamiątką historyczną i kulturalną polską jest prastara katedra poznańska, sięgająca wieku XI, a przechowująca najdroższe sercu polskiemu prochy wielkich polskich królów: Mieszka I, i jego syna Bolesława Chrobrego. Obaj królowie wytknęli na wieki całe naprzód linie polityki mocarstwowej Polski, wskazując na największe niebezpieczeństwo grożące Polsce — ze strony Niemiec. Od nich to datuje się w Wielkopolsce odwieczna tradycja walki z już wówczas nastawającymi na całość Polski Germanami.

Pamiątką z wieku XVI jest piękny ratusz poznański, utrzymany w nieskażonym renesansie. Jest to jeden z najpiękniejszych w Europie zabytków sztuki renesansu, powstały z polskiej inicjatywy i stanowiący wyraz aspiracji kulturalnych Wielkopolski.

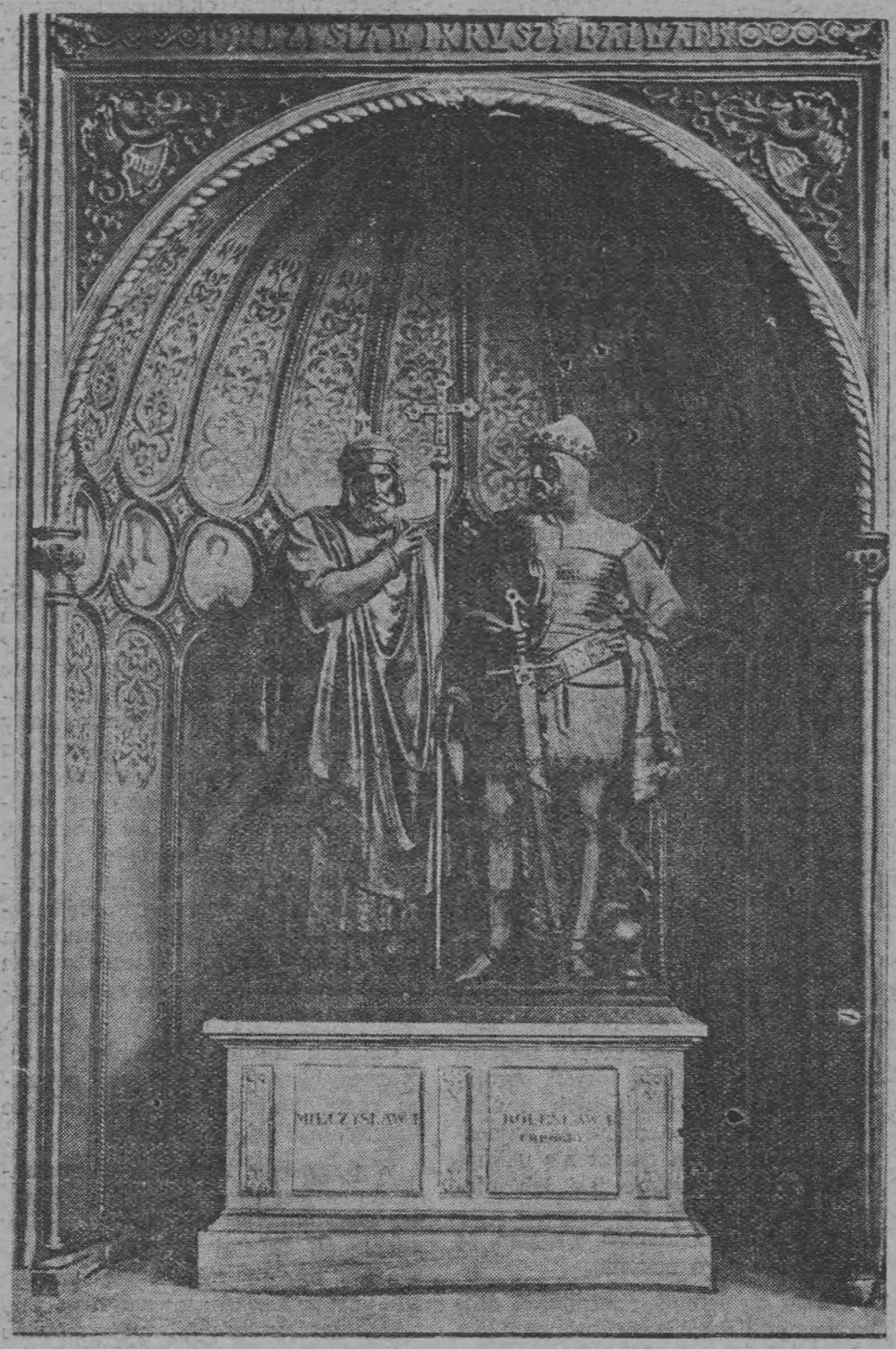

Pomnik królów polskich, Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w Złotej Kaplicy Katedry Poznańskiej. (B. I. 5016)

Natomiast jeżeli chodzi o pamiątki pozostawione po Niemcach, to znajdujemy w Poznaniu tylko kilka szpetnych budowli z ostatniego okresu przed poprzednią wojną światową: ciężki zamek poznański postawiony przez Wilhelma II i kompleks budynków utrzymanych w takimże samym ciężkim pruskim stylu. Jedyną ładną budowlą postawioną przez Niemców jest Teatr Wielki. Lecz wszystko to nie są pamiątki historyczne, które mogłyby świadczyć o wpływie kultury niemieckiej na rozwój historycznego Poznania, lecz tylko wysiłku Niemców wilhelmowskich, do nadania Poznaniowi piętna niemieckiego.

Za czasów niemieckich — miasto prowincjonalne.

Przed wojną światową, **Poznań** znajdujący się wraz z Wielkopolską pod zaborem pruskim **był niczym innym, jak tylko niewielkim miastem prowincjonalnym,** o znacznie mniejszym znaczeniu, aniżeli inne miasta niemieckie tej samej wielkości. **Stanowił on główne miasto okręgu rolniczego, które żywiło Niemcy zbożem i ziemniakami. Przemysł był na jego terenie rozwinięty niezwykle słabo,** jako wynik specjalnej polityki Niemiec, które pragnęły rozwinąć w Wielkopolsce jak najsilniej rolnictwo, natomiast nie dopuścić do rozwoju przemysłu. **Chodziło bowiem o to, aby Wielkopolska mogła dostarczać stale głodnej Rzeszy artykułów spożywczych i jednocześnie odbierać jaknajwiększe ilości artykułów przemysłowych.** Jeżeli, mimo takiej polityki, panował w Wielkopolsce pewien dobrobyt, to przede **wszystkim** dlatego; że **ówczesne społeczeństwo polskie potrafiło oprzeć swą działalność gospodarczą na doskonale pomyślanej organizacji, której puntem szczytowym była szeroka sieć spółdzielcza,** obejmująca wszelkie dziedziny życia gospodarczego.

Bezpośrednio przed wojną 1914—1918 r. Poznań liczył ca 150 tysięcy mieszkańców, z 35 proc. ludności niemieckiej. Ludność ta była napływowa, związana z Poznaniem tylko posadami urzędniczymi. Natomiast rdzeń społeczeństwa: kupiectwo i rzemiosło, był w przygniatającej większości czysto polski.

Za czasów polskich — wielki ośrodek gospodarczy.

Rola gospodarcza Poznania uległa zasadniczej zmianie po wejściu w skład niepodległego państwa pol-

Pomnik Prezydenta Wilsona, ofiarowany w r. 1929 przez Ignacego Paderewskiego. (B. I. 5015)

Pomnik Tadeusza Kościuszki, wzniesiony w r. 1930 na placu przed wejściem na Targi Poznańskie. (B.I. 5014)

Zniszczone przez Niemców pomniki poznańskie.

skiego. **Miasto staje się czynnikiem rozwoju gospodarczego, nietylko samej Wielkopolski, lecz wpływa na drogi rozwoju ekonomicznego całego kraju.** Powołane do życia w r. 1919 **Targi Poznańskie** przyczyniają się do wyrównania produkcji przemysłowej w Polsce scalonej z trzech zaborów, a w latach następnych zamienione na targi międzynarodowe, powodują rozwój stosunków handlowych polskich z zagranicą. Targi Poznańskie stwarzają Poznaniowi doskonałe warunki dla rozbudowy gospodarczej.

Ekonomicznie, miasto podnosi się z roku na rok. **Wielkopolska** dotychczas okręg wybitnie rolniczy przy państwie przemysłowym, jakim były zawsze Niemcy, nie mogła sobie pozwolić na rozwój przemysłu. **Po przyłączeniu jej do Polski, kraju rolniczego, mogła zwrócić większą uwagę na rozbudowę przemysłu.** To też w ciągu kilku lat powstaje świetnie rozwinięty w Wielkopolsce przemysł metalowy, którego głównym ośrodkiem jest Poznań, dalej przemysły: meblarsko - stolarski, chemiczny, spożywczy. W przemyśle spożywczym Wielkopolska wraz z Poznaniem, zajmowała w Polsce miejsce naczelne.

Silny rozwój gospodarczy Poznania pozwolił na urządzenie na terenie Targów Międzynarodowych Powszechnej Wystawy Krajowej na 10-ciolecie niepodległości państwa polskiego. Wystawa ta, swą wielkością dorównywała niemal światowym wystawom, organizowanym w latach następnych w niektórych stolicach europejskich. W rok później, a więc w r. 1930 odbywa się w Poznaniu Międzynarodowa Wystawa Komunikacyjna. Z biegiem czasu **Poznań staje się typowym miastem targów i wystaw.** W latach ostatnich Poznań bierze w ręce organizację polskiego rynku wełny, centralizując handel wełną na swych stałych Jarmarkach Wełny.

Szkolnictwo Akademickie.

Równolegle do rozwoju gospodarczego Poznania, postępuje organizacja wyższego szkolnictwa w Poznaniu. W r. 1919 powołany do życia Uniwersytet Poznański, rozwija się z roku na rok, stając się ogniskiem nauki i kultury polskiej, promieniując na całą dzielnicę zachodnią Polski. Uniwersytet poznański obejmuje wydziały: filozoficzny, nauk matematyczno - przyrodniczych, prawo ekonomiczny, rolniczo - leśny, medycyny. Poza uniwersytetem uruchomiono Akademię Handlową. W roku ostatnim przystąpiło do starań w kierunku uruchomienia politechniki, w oparciu o pracującą już od 12 lat Wyższą Szkołę Budowy Maszyn.

Na drogach świetnego rozwoju.

Jak z powyższego wynika, Poznań w ciągu 20 lat, rozwinął się ekonomicznie niezwykle silnie, znajdując się tuż przed wybuchem obecnej wojny na drogach jeszcze świetniejszego rozwoju. Łącznie bowiem z rozbudowującym się Centralnym Okręgiem Przemysłowym, miał do spełnienia nowe zadania: dostarczania mu artykułów przemysłowych produkowanych w fabrykach Poznania i wysoko selektywnych produktów rolnych dla tamtejszego okręgu. Handel tymi produktami przechodził przez Poznań.

Zewnętrznym wyrazem rozwoju Poznania był wzrost ilości jego mieszkańców, którzy ze **150 tysięcy mieszkańców z r. 1918, doszli do liczby 275 tysięcy osób,** oraz rzucające się w oczy wybudowane za czasów polskich urządzenia publiczne, nowe, reprezentacyjne gmachy i nowe części miasta.

Wszystko, **do czego doszedł w ciągu 20 lat współżycia w ramach państwowości polskiej, ma Poznań do zawdzięczenia wyłącznie elementowi polskiemu.** Należałości bowiem ludności niemieckiej już nie było w pierwszych miesiącach po opuszczeniu Poznania przez administrację niemiecką. **Poznań był jednym z najbardziej polskich miast, gdyż ludność niemiecka stanowiła w nim zaledwie 4 proc.** Osadzeni przed wojną światową Niemcy w Poznaniu, stanowili przede wszystkim warstwę urzędniczą, która natychmiast po ukończeniu wojny opuszczała sama, z własnej woli, bez jakiegokolwiek nacisku ze strony polskiej miasto, wracając do swych rodzinnych domów w Niemczech.

1.000 lat polskiej historii i polskiej kultury.

Obecnie Niemcy starają się wszelkimi siłami nadać polskiemu Poznaniowi charakter „germański". W tym celu wyrzucając z Poznania ludność polską, jednocześnie na jej miejsce pragną osiedlić Niemców ściągniętych nietylko z głębi Rzeszy, lecz również z krajów bałtyckich.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że **w ten sposób Poznania nie zgermanizują,** gdyż sprowadzona na jego teren ludność, będzie tak samo przelotnym, napływowym elementem, nie związanym duchowo z ziemią wielkopolską i Poznaniem, jak nie była z nim związana niemiecka warstwa urzędnicza, która po przegranej Niemiec w wojnie światowej, w pierwszych tygodniach opuściła ziemię wielkopolską i Poznań.

Tymczasem **żywioł polski w Poznaniu jest z nim związany całą swą tylowiekową przeszłością, krwią swoją, kulturą i duchem. Aby móc nadać Poznaniowi naprawdę „germański" charakter, Niemcy musieliby pracować nad tym tyle wieków, ile wieków przebywały w Poznaniu pokolenia polskie. Bowiem na Poznań złożyło się 10 wieków polskiej historii i polskiej kultury.**

Mgr. Andrzej Sokołowski.

Baśniowe bogactwa Indii

Niedawno prasę całego świata obiegła wiadomość, że 88 hinduskich książąt zaproponowało skarbowi angielskiemu swą potęgę finansową na prowadzenie wojny. Mówiąc językiem mniej prozaicznym, ma to oznaczać, iż przed Anglią 88 razy otworzył się „sezam". Angielscy ministrowie skarbu i aprowizacji dysponują obecnie skarbami 1001 nocy na zakup samolotów, czołgów i dział przeciwlotniczych.

Przeciętnemu śmiertelnikowi trudno urobić sobie jasne pojęcie o bogactwach tych hinduskich panujących. Dość będzie wskazać, że wśród nich można liczyć 12 najbogatszych na świecie ludzi. Prasa angielska wskazuje, że 88 władców hinduskich dysponuje ogólnym dochodem rocznym, przekraczającym miliard funtów. Z roku na rok zwiększają oni swe imponujące zbiory brylantów, pereł i różnych dzieł sztuki. Bogactwa tych hinduskich maharadżów i nababów zaiste są bajeczne. Wielu z nich nawet nie usiłuje podliczyć, jak wielkie jest ich mienie, jaką wartość mają niezliczone skarby w ich skrabcach, wiedząc, że nie sposób tego uczynić.

Udało się jednak ustalić, iż najbogatszymi władcami hinduskimi, a więc najbogatszymi ludźmi na ziemi, są nizam Hajderabadu, maharadżowie patjalski, bikanirski, kaszmirski, kapurtalski i inni. Czterej z nich rozporządzają takim mieniem, iż Ford i Morgan w porównaniu z nimi mogą uchodzić omal za ubogich.

Najbogatszym wśród książąt hinduskich jest nizam Hajderabadu. On jedyny próbował pewnego razu dokładnie podliczyć swe mienie. Zawezwał z Londynu ekspertów buchalterii i specjalistów od statystyki, którzy całe dwa miesiące przesiadywali fałdów nad rachunkami, by koniec końców zrzec się zadania, jakim ich obarczono. Nie dałby sobie rady z tymi skarbami nawet najbardziej żarliwy inspektor podatkowy. Z pewnym przybliżeniem udało się ustalić, że dochód roczny nizama Hajderabadu wynosi nie mniej niż 50 milionów funtów. Należałoby ujrzeć skarby nizama, aby uświadomić sobie, jak bogatym on jest w istocie. Na przestrzeni prawie 10 kilometrów ciągną się podziemne składnice ze stali i betonu, bronione przez najbardziej współczesne alarmujące przyrządy elektryczne. Tam przechowują się niezliczone brylanty, wydobywane na znakomitych polach diamentowych Golkondy, należących do rodziny nizama.

Członek hinduskiej komisji historycznej, George Frank, miał pewnego razu sposobność, obejrzeć te skarby. Oto jak je opisuje:

W pozornym bezładzie nagromadzone tu jest dwa razy więcej złota, niż kiedykolwiek przechowywano w piwnicach Banku Angielskiego. — Wzdłuż murów ciągną się szklane witryny z brylantami wartości 200 milionów funtów szt., nie mówiąc już o mniej kosztownych kamieniach, które naliczyć można setkami. W końcu skarbca złożone są srebrne cegły w ilości, dostatecznej na budowę obszernego pałacu. Na posadzce leżą płyty z platyny i innych metali szlachetnych, zakupionych przez nizama w ostatnich latach, aby zabezpieczyć siebie przed spadkiem cen złota, srebra i brylantów.

Następnie Frank mówi o szmaragdach, ametystach, perłach, szafirach, rubinach i innych kamieniach szlachetnych, jarzących się niby w cudownym kalejdoskopie. Cudem skarbca nizama Hajderabadu jest olbrzymia nefrytowa waza, ustawiona na złotym postumencie i po sam wierzch wypełniona brylantami i perłami.

Nizam nie lubi pysznić się swymi bogactwami. Ubiera się zawsze bardzo skromnie. Wręcz przeciwnie, maharadża Kaszmiru, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, chętnie afiszuje się swym bogactwem. Jego odświętne szaty zostały zrobione z kutego złota i usypane są brylantami. Kosztowały one 3 miliony funtów szt. Pod tymi szatami nosi nizam inne szaty, tkane ze złotogłowia i przetykane perłami, wartości „zaledwie" półtora miliona funtów. W czasie uroczystości wkłada on na głowę turban z kosztownościami, których wartość przekracza 2 i pół mil. funtów. Szyję jego ozdabia naszyjnik z czerwonych pereł, szacowany na milion funtów. Wreszcie miecz maharadży, cały przetykany kamieniami szlachetnymi, wart jest 2 i pół miliona funtów. W ten sposób maharadża w swych odświętnych szatach stanowi żywy skarbiec.

Maharadża Bikaniru pewnego razu zaprowadził swego gościa, dygnitarza angielskiego, do głębokich podziemnych tuneli. Gościa przeszły ciarki, aż naraz maharadża pocisnął guzik i u Anglika szeroko rozwarły się oczy. Tysiącami ogni i barw jarzyły się przed nimi góry kamieni szlachetnych. W oddzielnej celi ściany, każda 30 stóp długa, były tak gęsto zawieszone perłami, że samych ścian prawie nie było widać. Wszędzie połyskiwały tylko białe, różowe i czarne perełki.

— Ile ich tu jest — zapytał Anglik.

— Ogółem mniej więcej dwie mile — odpowiedział maharadża, ziewając z nudów.

U maharadży Patialskiego szmaragdy i perły rzucane są na wagę łopatą przy ważeniu. Jego orszak, będący niewielką armią, nosi mundury, z których każdy kosztuje 200 tysięcy funtów. Słonie maharadży postępują w uroczystych procesjach w uprzęży, przetykanej kamieniami szlachetnymi w takiej ilości, iż zdają się być chodzącymi witrynami.

Takie są skarby tylko trzech najbogatszych książąt hinduskich. Atoli i pozostali hinduscy władcy są tak bogaci, że mogliby pokrywać wydatki wojny światowej.

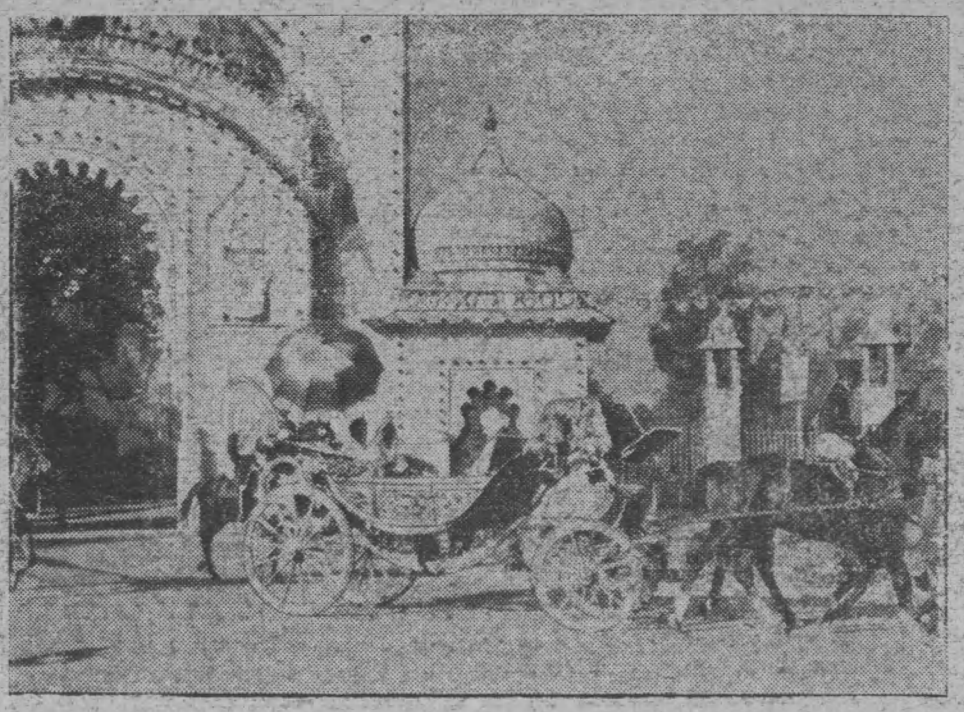

Maharadża Barody, Geokwar, w złotej karocy wyjeżdża na jedne z licznych uroczystości.

Tadeusz **KRÓLIKOWSKI**

Finlandia w przeszłości i teraźniejszości

Przez blisko dwa miesiące świat cały śledził z wielką uwagą uporczywą a stanowczą postawę Finlandii wobec uroszczeń i żądań Rosji sowieckiej. Od kilku tygodni zaś czytamy komunikaty z placu boju w Karelii i opisy bombardowania otwartych miast fińskich.

Pamiętamy, że w pierwszej połowie października Rosja Sowiecka wymusiła na 3 państwach bałtyckich Łotwie, Litwie i Estonii zawarcia paktów o wzajemnej pomocy z jednoczesnym zapewnieniem sobie baz morskich i lotniczych na wybrzeżach Bałtyku i wprowadzeniem garnizonów wojskowych sowieckich do tych państw. Jednocześnie Litwa została przez Bolszewików obdarzona Wilnem i okręgiem wileńskim. Wszystkie te 3 państwa nie stawiały żadnego oporu i układy zostały zawarte w stosunkowo krótkim czasie.

Z kolei przystąpiono do zoperowania Finlandii. Tu sprawa jednak nie poszła tak gładko. Na propozycje sowieckie zawarcia paktu o wzajemnej pomocy i koncesjach sezonowych na wybrzeżach Bałtyku i Oceanu Lodowatego, Finlandia wprawdzie przystąpiła do pertraktacji w Moskwie na ten temat, odpowiedziała jednak natychmiastową mobilizacją i szeregiem zarządzeń obronnych. W obronie Finlandii wystąpiły Szwecja, Dania i Norwegia, zakładając w Moskwie uroczysty protest, poparty stanowiskiem Stanów Zjednoczonych. Do Sztokholmu została zwołana konferencja państw skandynawskich.

Rokowania Finlandii z Moskwą trwają szereg tygodni.Delegacja fińska zwraca się kilkakrotnie o instrukcje do swego rządu i parlamentu. Jednocześnie zaś Finlandia mobilizuje swoje środki obronne nadgraniczne, ewakuuje miasta.

W drugiej połowie listopada rokowania stają na martwym punkcie.

W końcu listopada następuje nota ultymatywna sowiecka, żądająca wskutek rzekomych zajść granicznych usunięcia wojsk fińskich o 25 kilometrów od granicy. Finlandia zaprzecza, jakoby zajścia graniczne nastąpiły z jej winy, proponuje zbadanie ich przez komisję mieszaną, a na propozycje cofnięcia wojsk od granicy odpowiada podobną propozycją w stosunku do wojsk sowieckich.

Od tej chwili wypadki poczynają biec w tempie przyspieszonym. Rosja zrywa pakt o nieagresji, zrywa stosunki dyplomatyczne z Finlandią i dokonuje napadu wojskowego. W Karelii rozpoczynają się gwałtowne walki, atak lotniczy i bombardowanie Helsinek, Wyborga i Hangoe oraz zajęcie półwyspu Rybaków na Oceanie północnym. — Oto rezultaty pierwszych dni wojny narzuconej Finlandii.

Z kolei w granicznym mieście Teriokach powstaje samozwańczy rząd komunistyczny, który zatwierdza w Moskwie pakt przyjaźni i wzajemnej pomocy, odstępuje Rosji 4000 kilometrów kwadratowych w przesmyku Karelskim oraz półwysep Rybaków i kilka wysp na Oceanie Lodowatym. Ponadto Finlandia wydzierżawia Rosji półwysep Hangoe dla zorganizowania tam sowieckich baz morskich i lotniczych. W zamian za te ustępstwa terytorialne, Finlandia ma otrzymać część Karelii Sowieckiej oraz 420 milionów marek fińskich odszkodowania za tereny i koleje.

Rzecz prosta, że legalny rząd fiński nie uznał tego fikcyjnego układu i wojna toczy się dalej, Finowie bronią bohatersko swej ziemi. Z układu tego jednak dowiadujemy się dokładniej, czego Rosja żądała od Finlandii. Jest to dalszy ciąg polityki rosyjskiej wyrąbywania sobie okna na zachód, opanowania wschodnich i północnych wybrzeży Bałtyku, ale ponadto rozszerzania baz morskich na Oceanie Lodowatym, w kierunku Norwegii i zachodowi.

Finlandia jest krajem, którego powierzchnia jest równa niemal powierzchni Polski, ale gęstość zaludnienia wynosi zaledwie 9.3 mieszca na kilometr kw. W 1928 r. Finlandia posiadała przeszło 3.600 tysięcy ludności. Słabe zaludnienie Finlandii wynika z tego, że lasy zajmują 57 proc., a wody i bagna ⅓ powierzchni tego kraju. Długie i śnieżne zimy, lata krótkie i gorące oraz niezbyt urodzajne gleby dają możność uprawy zaledwie żyta i ziemniaków. Głównym zaś zajęciem ludności fińskiej jest hodowla bydła, rybołóstwo, żegluga morska i rzeczna oraz przemysł papierniczy, drzewny i włóknisty. Finlandia znaje 98 proc. ludności. Finlandia dzięki swemu geograficznemu położeniu na Bałtyku i stosunku do Rosji była dla tej ostatniej od wielu wieków owocem ciągłego pożądania, zaś przesmyk haselski w ciągu wieków był przedmiotem wielu walk zbrojnych i zmieniał często swą przynależność bądź do Rosji, bądź do Szwecji.

Grupa kobiet w Helsinkach wychodzi z schronu po alarmie lotniczym. (W.c. 36072)

Chwila posiłku w lesie finlandzkim, pokrytym śniegiem. (W. c. 34127)

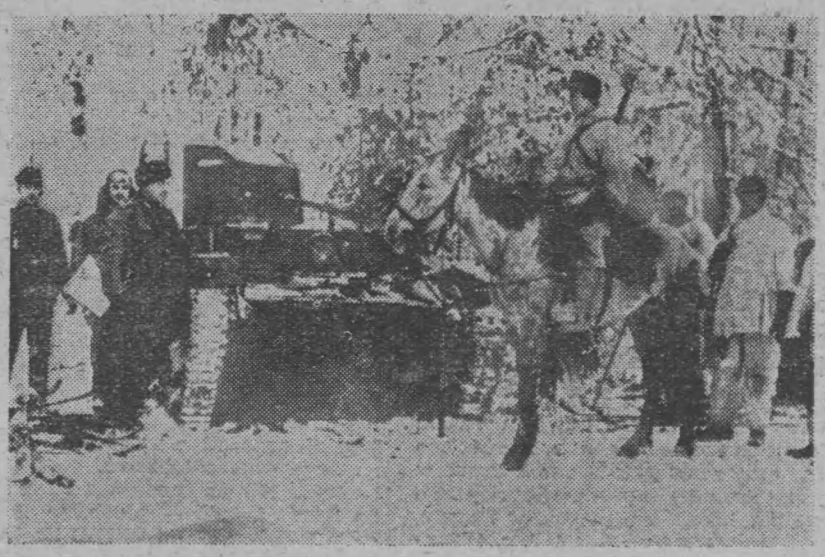

Czołg rosyjski zdobyty przez Finów pod Suomossalmi. (W. c. 38840).

Piotr Wielki chwilowo owładnął całą Finlandię, nie potrafił jej jednak utrzymać i dopiero w 1809 roku Aleksander I., jako sprzymierzeniec Napoleona odebrał Szwecji Finlandię i jako wielkie Księstwo Finlandzkie związał z Rosją unią personalną i częściowo realną. Finlandia posiadała własną konstytucję, parlament, prawo pobierania cła i bicia własnej monety oraz własne ustawodastwo cywilne i wojskowe.

Zarówno jednak konstytucja jak i autonomia Finlandii była systematycznie gwałcona i ograniczana przez rząd carski. Sejm fiński nie był zwołany przez przeszło pół wieku. W r. 1863 zwołano go pod wpływem przegranej wojny Krymskiej i powstania polskiego w 1863 r. Pod koniec XIX w. zaczęły się ponownie próby przekreślenia odrębności w XII wieku przyjęła chrześcijaństwo i do początków XIX wieku znajdowała się pod zwierzchnictwem Szwecji. Mimo, że Szwedów jest w Finlandii około 10 proc., wpływ kultury szwedzkiej na Finów jest ogromny i język szwedzki jest zapewnie równouprawniony z fińskim.

W XVI wieku upowszechnił się w Finlandii luteranizm, który wyparł katolicyzm. Reformacja przyniosła Finlandii pierwszą drukowaną książkę fińską, przekład Nowego Testamentu, dokonany przez biskupa Turku Michała Agricolę. Od tego czasu rozwija się piśmiennictwo fińskie, które w XIX wieku osiąga wysoki poziom. Wielkim poetą fińskim jest Runeberg, autor „Pieśni o Fendrichu Stolu", a wielkim powieściopisarzem Aleksis Kivi, autor „Siedmiu braci".

Finlandia w XVIII wieku była terenem walk Szwecji z Rosją. W 1808 r. Rosja wypowiedziała wojnę Szwecji i zajęła Finlandię. Wojna ta trwała do 1809 r. Pokój w Frederikshamn zakończył panowanie Szwecji w Finlandii. Finlandia stała się autonomicznym wielkim księstwem, związanym unią personalną z Rosją. Car Aleksander I. zatwierdził konstytucję fińską, zachował prawa i przywileje szlachty fińskiej, zezwolił na zwołanie sejmu fińskiego, zachował prawo bicia własnej monety i ustawodawstwo cywilne i wojskowe.

Za Mikołaja I. zaczęły się próby organicznego wcielenia Finlandii do Rosji.

Rewolucja rosyjska w 1917 r. przyniosła Finlandii pełną niepodległość. Rewolucja komunistyczna w kraju została złamana przy pomocy wojsk niemieckich, a w r. 1919 Finlandia ogłosiła się jako niepodległa republika.

W traktacie, zawartym w Dorpacie w 1920 r. z Rosją Finlandia zrzekła się swoich praw do części Karelii, natomiast uzyskała na wąskim pasku terenu dostęp do Oceanu Lodowatego. W 1921 r. Liga Narodów rozstrzygnęła spór ze Szwecją o wyspy Alandzkie, przyznając je Finlandii z warunkiem, że będą one całkowicie zdemilitaryzowane.

Z tego krótkiego rysu historycznego wynika, że historia dziś znów powstarza się i wypadki dziejowe ułatwiają Rosji wejście na Zachód, opanowanie wschodniego i północnego Bałtyku, usadowienie się na Oceanie Lodowatym.

Wiele wspólnego łączy Polskę i Finlandię. Wspólne dążenia wyzwoleńcze, wspólny wróg przeszłości, wspólna walka o wolność narodów w przyszłości. Mieliśmy w Polsce wiele sympatii dla tego dzielnego narodu północy, było i w Finlandii wiele sympatii dla Polski. Dziś może narody żyjące nad północnym i wschodnim Bałtykiem lepiej zrozumieją, czem była i mogła być Polska dla ich samodzielnego bytu państwowego. Polska na przestrzeni od Bałtyku do Morza Czarnego była jakby filarem sklepienia, które dziś trzeszczy i łamie się, skoro ten filar główny i wspierający przecięto. Dziś Finlandia napadnięta przez swego dawnego ciemiężcę broni się bohatersko i skutecznie — broni pod hasłem rzuconym narodowi fińskiemu przez generała Mannerheima: „Finlandia wszystko może stracić prócz honoru." My w Polsce znamy to hasło nie od dziś i wierni mu będziemy zawsze. Polska walcząca pozdrawia walczącą Finlandię.

Poezje naszych Czytelników i Czytelniczek

Z teki uchodźcy.

Śnieg w Paryżu

Gdym dnia tego na miasto wyszedł [rano,
serce radośnie mi w piersi zadrgało:
Paryż ustroił się w szatę utkaną
ze śnieżnych puchów...Cudną szatę [białą.

Ulice i place,
domy i pałace
strojne w śnieżne festony,
Patrzą, jak urzeczony.
W Bois de Boulogne
śniegu okiście
zwisają z drzew
niby liście.
Uśmiecham się doń.

Śnieg! To tylko atrakcja dla [paryżanina,
dla mnie — to coś więcej, to — [radosna nowina!
Przynieśli mi ją dziś pańscy anieli,
niech w mym zbolałym sercu goi [blizny.
Od paryskiego śniegu zimnej bieli
wieje ku mnie ciepło z dalekiej [Ojczyzny.

D. OBROWOLSKI, Paryż.

Polak nie sługa

Polak nie sługa! Nie zna co to pany,
Nie da się zakuć przemocą w kajdany.
Nadzieją żyje, do wolności wzdycha
A bez wolności — jakby kwiat usycha...

Jest silny w wierze i bogaty w cnoty
Pełen grzeczności, pilny do roboty.
lecz w niewolnika nigdy się nie zmieni
Lecz zawsze tęskni do swej polskiej ziemi.

Wrogom się zdaje — że trup, że legł [w grobie,
Tymczasem Polak wnet da znać o sobie
Bo gdy wrogowie Polskę nam zabrali
Polacy armię we Francji ufundowali.

A gdy tam, w Polsce, jeden Polak padnie
Za niego zebrać sto mścicieli snadnie
A z tych, to jeden za dziesięciu bije
W walce nie ustanie dopóki sam żyje.

Polak cierpliwie długo męki znosi
Lecz ducha swojego nie zmieni
Polak nawet wroga o litość nie prosi
Choć śmierć mu napewno grozi .

Nigdy Germana sługą on nie będzie,
Bo nad wszystko wolność ceni wszędzie.
Za to was — Niemców — w pachołki [zamieni,
Wszystkich wyrzuci z naszej polskiej [ziemi!...

Jan CIEŚLAK,
Billy Montigny.

Bezrobotni

Pod mostami Sekwany
leżą ludzkie łachmany
kto się o was upomni
nieszczęśni, biedni, bezdomni?

Kto was napoi, nakarmi
kto rękę litosną wam poda?
Jutro was znajdą żandarmi
lub brudna pochłonie was woda.

Nad wami świat opętany
mknie za chimerą złota
a pod mostami Sekwany
życie — spadło do błota...

Paweł AKSELRAD — Paryż.

Górnik.

(Na melodię: „Wołga, Wołga").

Kilof w rękę i łopatę,
I głęboko zjeżdżaj w dół
Pracuj ciężko na wypłatę
Ty, górniku polski mój!....

Ty pracujesz tam w głębinie,
Gdzie na ciebie czyha śmierć
Tam już ciebie nic nie minie
Musisz tam odwagę mieć.

Choć się kamień na łeb wali
Ty pracujesz, płynie pot...
Ciebie nikt tu nie pochwali...
Oskard warczy, dudni młot.

A gdy z tej kopalni wyjdziesz
To do łaźni spieszysz tuż
Każdy to powinien wiedzieć,
I górnika dławi kurz.

Więc idź prędko, spiesz do knajpy,
By się napić piwa choć,
A po pracy graj choć w karty
Taki twój górnika los!...

SIEMION Tadeusz,
Marchien - Docherie (Belgia).

Codzienna skarga

Zawsze sami,
zapłakani,
w dzień i w nocy...

Dla nas gwiazdy
nie chcą świecić
już na niebie.....

Nie potrzeba!
niech schowają się
w lazurze.

Niechaj świecą
tym, co lecą
hen, ku górze.

A na dole
róże kolą
nas kolcami.

Potem boli
koło serca
w głębi duszy...

Gdy ktoś kolec
ten poruszy
ku swawoli.

„Gdzie wasza ojczyzna
gdzie macie blizny
na twarzy?

Silna nasza armia
i jej wodzowie
starzy?"

A my nie wiemy
a my płaczemy
nad tą niedolą.

I wieczorem
smutki topimy
w alkoholu.

Lecz nad ranem
zapłakane
szepty słychać
o powstaniu
Z mędrca oczu
z ksiąg proroczych
wyczytane
Miej je Boże w swojej pieczy
Amen!

Danuta KASIŃSKA,
Perigueux (Dordogne)

Ochotnik W. P.

Pożegnał młodzian lubą dziewczynę
pożegnał najdroższą matkę,
pożegnał wszystkich krewnych, znajomych
i swą rodzinną chatkę.

Przy pożegnaniu dała mu luba
biało czerwony różany kwiat.
Nie zapomnij o obietnicy,
Gdy powędrujesz w daleki świat.

Ja nie zapomnę nigdy o tobie,
póki w mych piersiach serca bicie
wiernym ci będę nawet w mogile
Gdy mej Ojczyźnie oddam życie.

A gdy nie wrócę idź na mogiłę,
I zwiędłe róże łezkami zroś,
Tam ci ptak piosnkę, o mnie zanuci
O spokój duszy ty dla mnie proś.

ZAWIERTA Jan,
podof. W. P.

Polscy żołnierze gośćmi wychodźców

W czasie świąt Bożego Narodzenia liczne polskie rodziny wychodźcze gościły polskich żołnierzy. Pobytem żołnierzy radowały się całe kolonie, urządzając dla nich przyjęcia przy udziale miejscowych Polaków. — Na zdjęciu widzimy urlopników polskich, w otoczeniu działaczy emigracyjnych w Noeux les Mines. W środku duszpasterz polski, obok z prawej p. Szymanowski, prezes Komitetu Tow. Miejsc., Związku Polaków oraz Centralnego Komitetu Obywatelskiego we Francji.

Photo: Michałowski. Noeux les Mines (B.I. 5023).

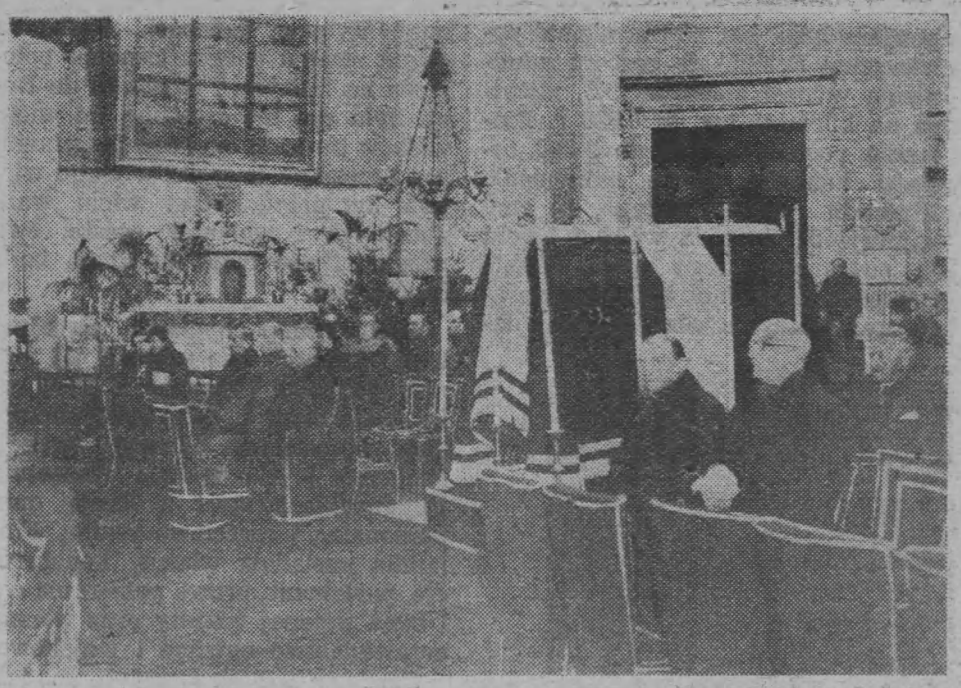

Nabożeństwo żałobne za duszę śp. Romana Dmowskiego

Dnia 2. stycznia br., jako w pierwszą rocznicę zgonu, odprawiona została w Paryżu Msza św. żałobna za duszę ś. p. Romana Dmowskiego, męża stanu, któremu Naród polski w wielkiej mierze zawdzięcza odbudowanie zjednoczonego państwa polskiego z oparciem o Bałtyk. — Na fotografii, dokonanej w czasie nabożeństwa w I. ławce w głębi: min. Frankowski chargé d'affaires w Paryżu (pierwszy z prawej), obok niego generał Kleber. W ławce po prawej stronie: pierwszy z lewej: konsul gen. w Paryżu, Obrębski. (W. c. 36246)

Photo: Witczak — Paryż.

Ignacemu Paderewskiemu

Cześć Ci, wielki Mistrzu Patrioto,
Za pracę zbożną dla Ojczyzny swej
Nie chodzisz w purpurze, nie nęci Cię [złoto
Lecz wszystko, co wolisz, to dla Polski [Twej.

Cześć Ci, o zacny starcze, symbolu [polskości!
Za twoją ofiarność dla rodaków Twych.
Całe Twe życie oddałeś ludzkości,
Ratując w niedoli i dobrych i złych.

Cześć Ci, premierze Polski wyzwolonej
Coś ją z grobu wzbudził, już dwadzieścia [lat.
Dziś znów na Cię patrzą Lechów miliony,
ze wszystkich zakątków, jak duży jest [świat.

Cześć Ci, Emigrancie, wychodźców [symbolu,
Co tułasz się całe długie życie swe.
Co na całym świecie, na kultury polu
Polskęś wsławił. To jest dzieło Twe.

Życzymy też Tobie, nam drogi Rodaku
Zdrowia, szczęścia oraz do pracy sił.
Byś dożył zwycięstwa ojczyzny Polaków,
Szczerze Ci życzymy, ażebyś długo żył!

Toż my emigranci dziękujem Ci za to,
Modląc się do Boga, o zwycięstwa cud.
Za to, że do rządów pragniesz cały lud.
Cześć Ci mężu wielki, szczery demokrato,

Jan CIEŚLAK,
Billy Montigny.

Pamiętam . . .

Pamiętam, gdy w noc gwiaździstą
W cichym zakątku parku,
Melodię usłyszałem przecudną i czystą
Grałeś mi piękny grajku.

Twe skrzypki cicho łkały,
Piosnka mknęła w dal
Drzewa w takt gry szumiały
A serca targał żal!...

O, nocy wymarzona!
Czarowna w swej potędze:
W dzieciństwie lat mych śniona
Podaję tobie ręce.

Prowadź mnie w swą głębinę,
pokaż swe wszystkie czary,
Jak matka swą dziecinę
Poucz i dodaj wiary!...

GADACZ Bronisław,
a Themzay (Deux Sevres).

Noc jesienna

Gdzie czas marzeń, snuje się nierealnie,
poprzez noce czarne bezsenne,
lśniące blaskiem kocich źrenic,
to smutna noc jesienna, zapłakana [deszczem,
mgłą przepruszona i szelestem
liści, suchych upadłych
na grobach pogrzebanych myśli
zakutych w granit marzenia
smutnej jesieni.
A czasem tylko
w aksamicie czarnej szaty
gwiazda przewodnia zabłyśnie na chwilkę
lecz tonie w zieleni, kocich źrenic
świecąc z wysoka, jak niedosięgła tęcza
widoczna tylko zdaleka.

Danuta KASIŃSKA.

Boże Narodzenie

Jak żółte jaskry, okna chat
płoną wśród białych śniegów
nie widać kształtów, tylko blask
w grudniową noc wybiega.

W nawiesiach sadów gubią się
kominy, dachy, ściany,
a co o mroku miga okien kwiat
kolędą rozśpiewany.

Kolędy płyną, okiść drży,
głowy podnoszą świerki,
Północ się zbliża, gwiezdny czas,
czas białej Mszy — pasterki.

Na śnieżnej drodze cieni sznur
latarek błysk migoce...
Spieszą się ludzie — Miłość — Bóg
Narodzi się tej nocy.

Poprzez kościelny szary próg
snop światła w mrok się wlewa,
grają organy, śpiewa lud
i każde serce śpiewa.

W bieli ornatu złote skry
i ołtarz tonie w bieli
Najświętszej Hostii biały krąg
i skrzydeł szum anielskich.

Bóg się narodził, z nami jest
na ziemię zeszedł biedną,
i wielka Miłość przyszła z Nim,
bo Bóg i Miłość — jedno.

SIWIEC Kazimierz,
Bollwiller (Haut-Rhin).

ADAM CZEKALSKI

MILION W ZŁOCIE

POWIEŚĆ

9)

— To nieprawdopodobne. O sprawie nikt nie wie. Krupiński uchodził za obywatela angielskiego i tylko skarb cesarstwa Indii może wnosić pretensje po terminie wyznaczonym przez sąd dla zgłaszania swoich praw do spadku.

— Tym szybciej właśnie musisz działać.

— Dobrze, panie.

— Punktualnie w oznaczonym czasie opuszczamy Polskę i Europę.

Przewodniczący odszedł, a Borowicz udał się do telefonu. Tymczasem Krajewski, tańcząc wolno i elegancko z Lilą, szeptał jej nieznacznie do uszka.

— Teraz dopiero rozpocznie się ostateczna rozgrywka. Walka zaledwie rozpoczęta. Ten człowiek ma jakiś inny, daleko ważniejszy cel przed sobą, niż tylko zdobycie pani. I dlatego, nauczony gdzieś w Indiach przez wtajemniczonych yogów, teraz próbuje na pani i jej najbliższych siły swoich oczu.

— A jak ja się mam zachować, komisarzu.

— Tst! Niech pani nie nazywa mnie komisarzem. A propos pani zachowania, to proszę udawać, że pani go rozumie i sprzyja mu. Proszę nie sprzeciwiać się jego woli, wtedy nie będzie stosował do pani moralnego przymusu. To pozwoli nam na skupienie wszystkich zainteresowanych sił w walce z tym panem. Jeżeli będzie prosił panią o towarzystwo do kawiarni, restauracji lub na dancing — proszę się zgodzić, okazywać mu nawet przyjaźń, zagrać bodajże w końcu komedię miłości...

— Ależ...

— Tst! Proszę słuchać mnie we wszystkim, a ja panią wyprowadzę na ciche i spokojne wody.

— A co ze Stadnickim będzie?

— Wróci do pani — na pewno wróci, bo już nawet mam pewne dane ku temu, że wyzwala się on z pod tajemniczych wpływów. Najważniejszą rzeczą jest, że ustaliliśmy źródło siły i wyższości Borowicza nad nami i wynaleźliśmy antidotum, a to przechyliło szalę wygranej na naszą korzyść.

— Dobrze, panie ko... proszę pana, dobrze.

— No, to świetnie: słuchać mnie we wszystkim, grać komedię i wodzić tego pana za nos tak długo, dopóki nie dam pani znaku, że jest to już zbędne.

— A antidotum?

— Przyślę pani przez mojego pomocnika Kulkę.

— Dziękuję.

— To ja winienem pani podziękować za przemiły taniec — uśmiechnął się Krajewski, całując Lilę w maleńką łapkę po skończonym tańcu. Jednocześnie prawie jakby z pod ziemi wyrósł Borowicz.

XVI.

Antidotum przeciwhipnotyczne

Środek przeciwhipnotyczny był wynalazkiem jednego ze sławniejszych polskich jasnowidzów i hipnotyzerów, inżyniera Soreckiego. Do rąk Krajewskiego dostał się ten środek zgoła przypadkowo i to drogą bardzo okrężną.

Stadnicki, mimo wyraźnego powrotu do zdrowia po długiej i tajemniczej chorobie, czuł się wciąż jeszcze jakoś dziwnie. Z wojska wziął dymisję, wyjechał był nawet na jakiś czas w góry, ale nie mógł się w żaden sposób pozbyć dziwnego przygnębienia, bezwładu myśli i czynów i jakiejś wprost zwierzęcej apatii, tego jakiegoś przymusu dziwnego nad sobą, jaki nieustannie odczuwał. Lila zjawiała mu się tylko w nader rzadkich wypadkach jasnych przejawów myśli, wolnych od obcych wpływów, od tego przymusu dziwnego, który kierował z odległości jego krokami. Wtedy zrywał się lecieć do niej, paść do nóg, błagać o przebaczenie za tak długie zapomnienie o niej.

Kiedy ordynans Żymełka powrócił z Łodzi z odpowiedzią Lili, porucznik leżał w kompletnym zapomnieniu i niewiedzy. Stan podgorączkowy był bardzo wysoki i niebezpieczny, to też Żymełka uważał za potrzebne zawiadomić o wypadku kapitana Olśnickiego, ten z kolei znowu wezwał lekarza i chorego umieszczono w sanatorium. Przeleżał tu dwa tygodnie, wciąż zgorączkowany i niepomny na nic i nikogo, a gdy przyszedł wreszcie do siebie, zapomniał dawno o liście, o Żymełce i o wszystkim, cokolwiek z Lilą miało związek. Zresztą, list ten znikł w jakichś tajemniczych okolicznościach. Żymełka, wobec zwolnienia się porucznika z wojska w tym czasie, wrócił do pułku, aby w dwa miesiące później znaleźć się „w cywilu".

Lekarze poradzili mu wyjechać do Zakopanego, Krynicy, Wisły lub gdziekolwiek w góry, co też Stadnicki wykonał prawie mechanicznie. Kazali mu jechać, więc zapakował manatki i pojechał do Krynicy.

I tutaj to, na jednej z wycieczek górskich, spotkał się z inżynierem Soreckim, głośnym jasnowidzem i hipnotyzerem. Inżynier, zaledwie popatrzył na twarz Stadnickiego, odrazu uderzyły go charakterystyczne cechy, tak mu znane z dawniejszych jeszcze czasów swoich badań nad naukami yogów indyjskich.

— Co panu jest, poruczniku? Pan dziwnie wygląda — rzekł inżynier.

— Nie wiem, inżynierze, od paru miesięcy diabeł mnie opętał, czy kij licho, sam nie wiem, jak to wszystko określić — odrzekł Stadnicki.

— To dziwne, bardzo dziwne — rzekł do siebie Sorecki, nie spuszczając oka z twarzy porucznika.

— Co dziwne, inżynierze?

— Ten stan, w jakim pan się znajduje. Czy pan wie, że to jest choroba sztucznie wywołana na odległość?

— Nie wiem, ale przyznam się panu szczerze, że jestem gotów uwierzyć w diabłów, czarownice, wampiry, upiory i w cokolwiek pan zechce.

— W jedno musi pan wierzyć, a będzie dobrze, a to: że jest pan zdrów, chce pan być zdrów i mieć pewność, że tak jest i tak będzie.

— Ba! gdyby to mogło tylko wystarczyć.

— Zajdź pan kiedy do mnie, może co zaradzimy na pańską „chorobę".

Porucznik uśmiechnął się boleśnie.

— Najsłynniejsi lekarze opuścili już ręce na widok mojej choroby.

— Ja jej się jednak nie przerażę, tego może pan być pewnym.

— Gdyby ją to można chwycić za łeb, tę moją chorobę, i wygrzmocić pięścią po karku, to może i pomogłoby to co.

— Pomożemy, pomożemy, poruczniku, proszę tylko wierzyć, że cokolwiek pan będzie czynił — powinno, musi mieć skutek. Przecież pan żyjesz jakby gdzieś w przestrzeni, poza własnym życiem, w oderwaniu od niego, czy nie tak?

Stadnicki potwierdził trafność określenia.

— Czuje pan przymus, jakąś przemoc niewidzialną i nieuchwytną, która panu nakazuje czynić pewne rzeczy wbrew własnej woli, wbrew własnej świadomości.

— Istotnie, coś podobnego odczuwam.

— Wie pan co — ożywił się Sorecki — ja dziś wieczorem zajdę do pana, dobrze?

— Bardzo proszę, inżynierze, będzie mi ogromnie miło widzieć pana u siebie i to tymbardziej, że spodziewam się od pana pomocy, leku na moją dziwną chorobę, w którą zapadam zawsze wtedy, kiedy najmniej sobie tego życzę i popełniam takie kryminały, że się tak wyrażę, których muszę się podczas przebłysków własnej mojej świadomości — wstydzić.

— Otóż to, otóż to... Zdaje mi się, że ja pana będę mógł uwolnić, wyjarzmić z tej niewoli ducha i myśli.

— Zasłuży pan sobie tym na moją dozgonną wdzięczność.

— Ach, nie mówmy o tym — zapalał się coraz bardziej inżynier. — Pan mnie interesuje jako obiekt i dlatego panu pomogę, bo chcę dokonać pewnych doświadczeń, no i, naturalnie uzdrowić pana.

I jeszcze tego dnia wieczorem inżynier przybył do mieszkania porucznika. Zastał go w stanie naprawdę pożałowania godnym. Leżał na kanapce blady i wyczerpany tak, że z trudem dech łapał w usta.

— Znowu? — spytał krótko Sorecki.

— Znowu — odrzekł Stadnicki słabym głosem. — Diabli wiedzą, co się ze mną dzieje — nic nie rozumiem, nic nie pojmuję.

Sorecki ujął go za przeguby rąk, ścisnął mocno i wpatrzył się swoimi czarnymi, błyszczącymi tajemniczym blaskiem oczyma w źrenice Stadnickiego. Czas jakiś wpatrywał się w milczeniu, po czym zaczął mówić cicho, melodyjnie, ale rozkazująco i twardo:

— Śpi pan — tak, teraz pan śpi — szeptał jakimś tajemniczym i dziwnym tonem. — I nie obudzi się pan, aż za godzinę. Potem zapomni pan wszystko, cokolwiek działo się z nim przez ostatnie miesiące. Wszystko to nie istniało — nie mogło istnieć. Nikt już nad panem nie będzie miał przemocy, władzy, sił. Pan sam sobą będziesz rozporządzał, sam będziesz siłą i tylko mnie jednemu ulegał będziesz. Rozumiesz? Poddajesz się?

— Och! — jęknął Stadnicki. — Boli, okrutnie boli.

— Tak, boli pana, boli — powtórzył za nim Sorecki. — Bo teraz moja siła walczy w panu z siłą tego drugiego, pańskiego wroga, Ale ja go pokonam. I wydaje się panu, że nagle czyjeś nogi obute w ciężkie buty, tratują pański mózg, czy tak?

— Tak.

— Ale to minie, rozumiesz, minie zupełnie i bez śladu, nim

godzina upłynie.

— Rozumiem.

— Poddajesz się mojej woli?

— Pod... da... ję...

— Śpij więc — zakończył inżynier i opuścił ręce Stadnickiego. Opadły one bezwładnie i porucznik spał.

Tymczasem Sorecki, który dotąd stał pochylony nad Stadnickim, usiadł ciężko na najbliższym z krzeseł. Czuł się ogromnie wyczerpany. Chory Stadnicki chwilami jęczał i mówił coś przez sen, jak gdyby bronił się przed jakimś niewidzialnym wrogiem, jakby kogoś prosił o przebaczenie, w końcu zasnął spokojnie i równo, o czym świadczył jego spokojny, regularny oddech. Sorecki siedział wciąż nieruchomo na jednym miejscu i wpatrywał się mocno swoim ciekawym wzrokiem w postać Stadnickiego, jakby spojrzeniem tym pragnął odpędzić wszystkie wraże siły, które mogły atakować jego pacjenta.

Punktualnie po upływie godziny, wyznaczonej przez Soreckiego, Stadnicki się obudził i usiadł raptownie, a zobaczywszy w półmroku jakąś postać ludzką, zapytał niespokojnie:

— Kto to? Czy to ty, Żymełka?

— Nie, poruczniku, to ja, Sorecki. Pański Żymełka, którego znałeś pan dawniej, jeszcze przed swoją chorobą, nie jest tu obecny.

Stadnicki potarł nerwowo dłonią czoło, jakby usiłował zrozumieć to wszystko, co dotąd wydawało mu się taką niejasnością w końcu zapytał:

— Co to wszystko znaczy, proszę pana?

— Cóż to, nie poznajesz mnie pan? — zdziwił się odrobinę inżynier.

— Ach, to istotnie pan, inżynierze? Wybacz pan, ale czuję się tak, jakbym powrócił z jakiejś dalekiej i przykrej podróży.

— Bo też tak było — podróżował pan myślami tam, gdzie panu kazano i nie mógł się pan zająć tymi sprawami i tymi osobami, które najbardziej pana interesowały...

— Istotnie, istotnie... Teraz zaczyna mi powracać świadomość, teraz zaczynam rozumieć wiele niejasności. Ale — cóż się to ze mną działo? Toż teraz, jak widzę, na dworze lato.

— A lato, a co się z panem działo? Zrozumie pan to powoli. Nie chcę zaraz teraz wszystkiego panu tłumaczyć. Sam pan przyjdzie do zrozumienia wszystkiego.

Stadnicki usiadł znowu i ścisnął głowę dłońmi. Po chwili spojrzał na inżyniera i spytał:

— Czy pan wie, co dzieje się z panną Alicją Krupińską? To była moja narzeczona, z którą Bóg to raczy wiedzieć dlaczego i po co, zerwałem był pod wpływem, jak to dzisiaj widzę, zupełnie obcej woli.

— Otóż to, otóż tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy, którą mogę panu wyjaśnić w paru słowach. ktoś na razie nieznany mi, a komu zależało na zerwaniu pana z narzeczoną, nieustannie hipnotyzował pana na odległość i nakazał panu spełniać takie czyny, którychbyś pan nie spełnił nigdy w normalnym stanie.

— Co pan powie? Czy to jest możliwe?

— To jest pewnik.

— I nie masz obrony przeciwko tej zbrodniczości?

— Jest, owszem, ale tylko jeden ratunek: musi się znaleźć ktoś silniejszy, ktoby potrafił oddziałać na pana w sensie przeciwnym, ktoby zwalczył zły wpływ przeciwnika.

— Inżynierze, więc pan... pan zastosowałeś do mnie to antidotum?

— Tak, taki właśnie eksperyment przeprowadziłem na panu i, jak pan widzi, udał mi się w całej pełni. Ale nie poprzestaniemy jednak na tym, ja panu dam proszki, specjalnie przez mnie spreparowane, mój wyłączny wytwór. Proszki te będzie pan zażywał każdego dnia trzykrotnie o oznaczonych godzinach, a więc: ósma rano, druga w południe i ósma wieczór. One zapobiegną wszelkim wpływom pańskiego przeciwnika na pański umysł i pańską wolę.

— Stokrotnie panu dziękuję. Czuję się teraz, jak gdybym się dopiero narodził. Czuję się całkowicie zdrów, znakomicie.

— Cieszy mnie to ogromnie. Ale to jeszcze nie koniec, walkę musimy przeprowadzić do końca, będę jednak pana prosił o wskazanie mi człowieka, który dopuścił się na nim takiej zbrodni, pogrążając go na tyle miesięcy w niewiedzę i nakazując mu, jak się domyślam, spełniać rozmaite czynności wbrew swojej woli i chęci. Dopiero wtedy, gdy spotkam się bezpośrednio z tym człowiekiem, gdy zmierzę moją wolę z jego wolą, będziemy mogli określić środki jego zwalczania.

— Z największą chęcią służę panu wszelkimi wyjaśnieniami, ale zanim to się stanie, pozwoli pan, że nadam depeszę do mojej narzeczonej, aby ją uspokoić i wiele spraw teraz dopiero, gdy wyjarzmiłem się z pod przemocy mojego wroga, jak to pan nazwał — należycie oświetlić.

— Bien — chodźmy na pocztę. Na razie wciąż chcę być z panem, aby go ochraniać przed możliwymi atakami. Czy pan godzi się na to?

— Ależ ja o to pana bardzo proszę.

— No, to chodźmy teraz na pocztę, a potem udamy się do Łodzi. Trzeba kuć żelazo póki gorące, trzeba sprawę prowadzić dalej szybko, bo nie wiemy, czego człowiek ten mógł nabroić do tego czasu.

— Słusznie, słusznie inżynierze.

Załatwiwszy telegram, obaj panowie wrócili do siebie i podczas, gdy służący Stadnickiego pakował manatki do drogi, Jerzy opowiadał Soreckiemu wszystko to, czego w ciągu ostatnich miesięcy sam był ofiarą i co pamiętał. A gdy skończył, inżynier zawołał:

— Mam, już mam!

— Cóż mianowicie, inżynierze?

— Wiem, kto jest pańskim prześladowcą. Nie może nim być nikt inny, tylko ten anglo-hindo-polak Borowicz. Z pańskiego opowiadania wynika to jasno jak na dłoni.

— A wie pan, że i ja odrazu miałem w podejrzeniu tego pana. Próbowałem walki, oporu, ale nigdy mi się to nie udawało.

— Ale teraz się uda — musi się udać.

Pożegnawszy Stadnickiego, poszedł Sorecki do siebie po obiecane proszki. Ale zaledwie stanął na progu mieszkania, spostrzegł zaraz niezwykły nieład, spowodowany, jak się odrazu domyślił, przez włamywacza. Walizy były porozbierane, bielizna porozrzucana, ubrania na podłodze. Tknięty jakimś złym przeczuciem, Sorecki podbiegł natychmiast do skrytki, w której miał ukryte swoje proszki, ale i skrytka była rozbita — proszki znikły.

— Tum cię szukał — rzekł półgłosem Sorecki i bez dalszych jakichś deliberacji i zwłoki zaczął pośpiesznie pakować i układać rzeczy w walizach.

A w tym samym prawie czasie Oleś Barłamp znowu miał rozmówkę z Borowiczem, od którego dowiedział się, że antidotum inżyniera Soreckiego zostało unieszkodliwione i nigdy już inżynier go nie odzyszcze i nie spreparuje.

— To on panu dał ten środek — mówił Borowicz.

— Mniejsza o nazwisko, dość, że antidotum mam i pan nic mi nie może zrobić — odrzekł obojętnie Oleś.

— Mylisz się pan, teraz znowu odzyskałem nad tobą i wszystkimi innymi władzę.

— To czemu jej nie stosujesz?

— Nie chcę. Pan zginiesz w dniu, w którym ja zechcę i wtedy dowiesz się, że ów dzień będzie dniem mojego triumfu.

— Zobaczymy. A narazie idź pan do diabła i zostaw mnie w spokoju. Po co te ceregiele? Chcesz mnie zarznąć, zrób to odrazu, albo nie przychodź do mnie więcej. Zawsze miałem pana za dżentelmena, ale widać się pomyliłem. Niby to jesteś pan człowiekiem mocnym, ale narazie ja tego nie widzę, natomiast słyszę prawie co drugi dzień pańskie przechwałki. Czy pan myślisz, że mnie to zaimponuje?

— Jestem mocnym, a że tak jest, na sobie masz najlepszy dowód.

— Znęcać się nad bezbronnym potrafi każdy kiep i to nie jest bynajmniej wyrazem jakiejkolwiek mocy.

— Nim pan umrzesz, musisz dowiedzieć się o wszystkich moich zwycięstwach.

— Pyrhusowych! Nie sądziłem, że pan jednak jest mizernym pionkiem etycznie. Po co te wszystkie komedie? Po co to ogłaszanie mi nieustanne, że wczoraj dokonałem tego a tego, a jutro zamierzam znowu wykonać to lub tamto?

Borowicz w milczeniu przeszedł się przez pokój, dość gustownie urządzony, w którym od pierwszego dnia swojej rozmowy z Borowiczem, umieszczony został Barłamp. Był zamyślony i jakby jakiś niespokojny, co Oleś natychmiast spostrzegł.

— Wiesz pan co, panie Borowicz — odezwał się znowu Oleś — zaprzestań pan swoich knowań, a ja panu zapewniam całkowite bezpieczeństwo. W przeciwnym razie, zanim nadejdzie ostatni termin pańskiego zwycięstwa, znajdziesz się pan w ulu, a to, zapewniam pana, bardzo niemiłe locum dla takiego dżentelmena, jak pan.

Borowicz spojrzał na swojego jeńca wzrokiem zdziwionym i drwiącym.

— Daję panu na to moje słowo, a wierz mi pan, że na rynku łódzkim słowo to ma swój efektywny walor u władz.

Mister John znowu zaczął na nowo chodzić tam i nazad po pokoju, nie zwracając uwagi na słowa Barłampa, który teraz drwił dowoli z Borowicza, nazywając go dżentelmenem - włamywaczem i wykształconym rzeźnikiem, próbując wyprowadzić z równowagi tego nad podziw opanowanego człowieka.

Ale Borowicz najmniejszej uwagi nie zwracał na te drwiny. Mózg jego w tej chwili pracował energicznie nad rozmaitymi sprawami, które zaczynały go mocno niepokoić. Prawda, wynajął był człowieka pewnego, który miał wykraść inżynierowi Soreckiemu jego antidotum przeciwhipnotyczne, ale czy mu się to uda? O tym Borowicz nie wiedział, chociaż już a priori przechwalał się Barłampowi. A jeżeli nawet uda się to przedsięwzięcie, to czy przeciwnik jego nie posiada jakiegoś innego środka? Tego mister John nie wiedział. Rozmyślania te zajęły mu dłuższy czas, w końcu skierował się ku drzwiom, na progu raz jeszcze obrzucił nienawistnym spojrzeniem Barłampa i trzasnąwszy drzwiami, znikł za nimi.

Kiedy następnie na drugi dzień wieczorem Borowicz siedział u siebie w mieszkaniu przy Piotrowskiej, Dario wprowadził jakiegoś człowieka, wyglądającego na zbója lub księżycowego kawalera z Bałut.

— Czego chcesz? — spytał Borowicz, tego wieczoru więcej zdenerwowany, niż kiedykolwiek przedtem.

— Przychodzę od „Lalusia" — odrzekło indywiduum.

Borowicz ożywił się natychmiast.

— Gdzie on jest? Dlaczego sam nie przyszedł?

— Chory jest — policja go postrzeliła. Przysyła mnie z tym oto znakiem.

Indywiduum podało ozdobny żetonik z kości słoniowej, na którym wyryte były jakieś znaki.

— I cóż? I jakże wyprawa? — ożywił się natychmiast mister John.

— Udała się, ale nie całkowicie. Pojechaliśmy za Soreckim i włamaliśmy się do jego mieszkania, zabraliśmy tę puszkę, o któ-

rej nam pan mówił, a właściwie o której mówił pan „Lalusiowi", ale gdyśmy już opuszczali willę, spostrzegł nas policjant i zaczął ścigać. W pościgu tym Laluś został ranny, a ja, zdążywszy zabrać jeszcze od niego puszkę i ten znak, zbiegłem.

— Gdzie ta puszka dawaj ją.

— Nie mam — odrzekł krótko człowiek.

— Jak to nie masz? Gdzie ją podziałeś?

— A bo to, widzi pan, cała historia. Przyjechałem szczęśliwie do domu i zmordowany okrutnie, położyłem się spać, myśląc sobie, że przecież i tak będzie czas odnieść panu to cacko później. I tu właśnie nastąpił krach. Rozbierając się, nie zauważyłem, że pudełeczko z proszkami wypadło na podłogę. Kiedym zasnął, chłopak mój znalazł je i wyniósł z domu, odsprzedając je koledze, swojemu rówieśnikowi, za jakąś tam inną zabawkę. Kiedym wstał, narobiłem wrzawy i piekła, aż się całe Bałuty trzęsy, chłopakowi wyłoiłem skórę, co się zowie, a potem zacząłem szukać tego cacka, ale przepadło ono jak kamień w wodę.

— Bydlaku! — wrzasnął Borowicz. — I z tym ośmielasz się przychodzić do mnie po zapłatę?

— Czyż ja temu jestem winien? Ot, omen diabelski i tyle. Fatalna była ta nasza wyprawa, panie, diabelnie fatalna: przyjaciel ranny i w rękach policji, puszka zginęła, a teraz pan mi wymyśla i odmawia słusznie należnego mi zarobku.

Borowicz przeszedł się raz i drugi przez pokój. Potem przystanął przed włamywaczem i spojrzał mu mocno w oczy.

— Nie łżesz?

— A cóżby mi z tego przyszło? — odrzekł obojętnie człowiek. — Że na miejscu byliśmy, żeśmy puszkę zabrali i parę fajgli, jakie nam pod rękę wpadły, aby upozorować rabunek, o tym pan może przeczytać w dzisiejszych dziennikach.

Mister John mruknął coś pod nosem i sięknął ręką do biurka. Otworzył je, szukał czas jakiś czegoś tam, ukradkiem tylko obserwując swojego gościa, po czym rzucił mu kilka monet srebrnych i zauważył:

— Ale o tym ani słowa, rozumiesz?

— Tak, panie.

— I nikomu nie wspominaj o żadnej puszce i o żadnym włamaniu, ani o mnie, jeśli chcesz żywym chodzić po tym pięknym świecie.

— To się wie, panie.

— No, to idź sobie.

Ale człowiek zawahał się jakby na chwilę, a ciekawe jego oczy, ruchliwe i żywe, błyskawicznie obiegły cały pokój.

— Czego? — spytał krótko Borowicz.

— Mojego milczenia może pan być pewnym, o to nie ma obawy. Ale... gdyby mnie pan kiedy potrzebował...

— Dobrze, dobrze, jeżeli będę cię potrzebował, wiem, gdzie cię szukać. A tymczasem uwolnij mnie od swojej obecności.

— Kłaniam się panu doktorowi.

Dario zabrał włamywacza i poszedł ku drzwiom wyjściowym.

— Słuchajno, salcesonie szpikowany — zagadał w pewnej chwili włamywacz do Hindusa — lubisz ty naszą wódziunię? Hę? Nie miałbyś ochoty ze mną wypić po kubeczku najoryginalniejszej pod słońcem czyściochy?

Hindus nawet nie drgnął i nie zwrócił najmniejszej uwagi na te słowa.

— Czegóż nie odpowiadasz, bamboszu przegniły?

— Twoja iść doma, prędko-prędko iść doma — huknął ma nad uchem służący.

— Czego się gniewasz nadobna różyczko Indii? Cóżeś to ty lepszego, żebyś odmawiał towarzystwa porządnemu włamywaczowi?

Hindus zatrzymał się raptem i spojrzał bardzo ciekawie na włamywacza, a czarne i krzaczaste jego brwi uniosły się do góry w dziwieniu niezwykłym. Włamywacz zmieszał się nagle i niemal z pośpiechem zaczął iść ku wyjściu.

— Twoja poczekać! — huknął rozkazująco Hindus, zagrażając mu drogę.

— Czego? — warknął groźnie włamywacz. — Odknaj, bracie, a to majchrem zawadzę cię tak w bebech, że cię rodzona matuchna nie pozna.

— Help! Help! Help! — wrzasnął naraz Hindus i rzucił się na włamywacza, ale ten teraz dopiero pokazał co umie. Uskoczył gwałtownie jeden krok do tyłu i następnie kropnął głową z całej mocy w brzuch Dario. Hindus jęknął, zachwiał się i padł na kokosowy chodnik bez ruchu. Włamywacz skoczył ku drzwiom, odsunął zatrzask, odłożył łańcuch, przekręcił klucz i runął po schodach na dół. Biegnąc, słyszał jeszcze za sobą jakiś ruch i rwetes w mieszkaniu, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Poderwany z miejsca wołaniem Dario, Borowicz wybiegł na korytarz, ale zobaczył tu teraz tylko nieruchomo leżącego służącego, nie dającego najmniejszego znaku życia. Szybko podniósł go i zaciągnął do bocznego pokoiku, gdzie zabrał się natychmiast do jego cucenia.

Włamywacz natomiast, zbiegłszy na ostatnią kondygnację schodów, zerwał perukę z głowy, odkleił małe czarne wąsiki i obtarłszy całą twarz mokrą chustą, którą miał w kieszeni, wolno wyszedł na ulicę. Przekroczył jezdnię i znalazłszy się po drugiej jej stronie, wszedł w pierwszą spotkaną bramę.

— Kulka! — szepnął komisarz Krajewski.

Rzekomy włamywacz mruknął tylko coś w odpowiedzi i poszedł dalej, a tuż za nim podążył Krajewski. Dopiero, gdy Kulka wsiadł do taksówki i ruszył do Wydziału Śledczego, Krajewski zawrócił i wszedłszy w boczną ulicę, kazał czekającemu tu wywiadowcy sprowadzić drugą taksówkę i obaj pojechali za „włamywaczem".

— Gadaj pan zaraz, jak i co? — zawołał Krajewski, wpadając z miejsca na Kulkę, który wycierał na twarzy ostatnie ślady charakteryzacji.

— Wszystko odbyło się doskonale i zgodnie z naszymi przewidywaniami — odrzekł agent. — Ale na samym końcu o mało nie wpadłem.

— No? Po jakiemu?

— Poznał mnie służący Borowicza, albo też poznał, że nie jestem prawdziwym włamywaczem.

— Niemożliwe. Przecież on pana na oczy chyba w życiu nie widział?

— Przeciwnie, musiał mnie widzieć już kiedyś, co mi nasuwa myśl, że byłem śledzony przez szanownego mister Johna. Kiedy bowiem znaleźliśmy się obaj w korytarzu, zagadałem do niego, proponując mu wypitkę. Grałem na zwłokę, aby dobrze rozpatrzeć się w rozkładzie mieszkania. Wtedy ten diabeł przyjrzał mi się uważnie i rzucił się ku mnie, wołając „help! help! help!" Ja jednak dałem mu „byka" w brzuch i zwiałem po schodach, tylko grzmiało.

Krajewski pokiwał z niezadowoleniem głową.

— Stało się źle, bardzo źle — rzekł następnie. — No, ale już się to naprawić nie da, więc musimy całą siłą iść naprzód, aby sprawę całą możliwie najszybciej zakończyć. Gdzie pan ma pigułki Soreckiego?

— Zostawiłem je w moim biurku.

— Daj mi je pan.

Kulka poszedł do swojego pokoju i długo jakoś nie wracał, a gdy się następnie ukazał, miał taki dziwny wyraz twarzy, że Krajewski odrazu zwrócił na niego uwagę i zapytał szybko:

— Cóż tam znowu?

— Panie komisarzu... to niepojęte... pigułki zniknęły.

— Nie oplataj pan byle czego! — obruszył się komisarz. — jak to — zniknęły?

— Nie ma ich w moim stoliku.

Krajewski bez słowa pobiegł do biurka Kulki. Wysunął szufladę, przewrócił papiery do góry nogami, zbobrował drugą i trzecią szufladę, ale pudełeczka nie znalazł. Wszelki ślad po nim zaginął.

— Psiakrew! Co się tu dzieje? — wrzasnął cały purpurowy z gniewu. — Kto tu gospodarzy w tym biurze, u stu najjaśniejszych piorunów!

Wszyscy milczeli, lękając się jeszcze bardziej rozgniewać srogiego szefa.

— Czemuż milczycie. Dlaczego żaden z was jednego słowa nie wykrztusił z gardła?

— To jest naprawdę niepojęte! — odważył się Kulka na pierwsze słowo.

— Co niepojęte? Jak to niepojęte? — zawołał Krajewski. — Tu nie ma żadnych cudowności, nic niepojętego. Tu ktoś buszuje po moim biurze, jak u siebie w domu. Niedawno temu ktoś sfałszował raport posterunkowego Kulpecia, teraz zniknęła puszka, niedługo może samego pana dyżurnego wyniosą z tego biura, a nikt niczego nie zobaczy! Od czego wy tu wszyscy jesteście?

Krajewski był gniewnym do najwyższego stopnia. Biegał po pokoju wywiadowców, klął, wymyślał, pomstował, kazał przeszukać całe biuro od góry do dołu i w końcu, zapowiedziawszy, aby za każdą cenę puszka została odnaleziona, trzasnął drzwiami i poszedł do swojego gabinetu. W poczekalsi zastał Icka Bulwę i „Lalusia".

— Czego tu? — ofuknął ich.

— Pan komisarz kazał nam przyjść.

— Naprawdę?... A, prawda. Poczekajcie tu chwilę.

Wszedł do siebie, zatrzasnął drzwi i usiadł ciężko przy biurku. Z zadumy zbudził go dzwonek telefonu. Ujął za słuchawkę i rzucił gniewne „hallo" w tubę, nasłuchując. Ale już w następnej chwili ożywił się bardzo i zaczął pilnie słuchać, powtarzając tylko jednostajnie: „tak, tak, tak, tak"...

Skończywszy rozmowę, Krajewski szybko powstał i podszedłszy do drzwi huknął:

— Bulwa!

— Jestem, panie komisarzu.

Obaj przestępcy weszli do gabinetu.

— Słuchajno, mój Bulwa — zaczął Krajewski łagodniej — zasłużyłeś sobie dzielnie u mnie, żeś mi dostarczył przez Lalusia te proszki i za to otrzymasz stosowną nagrodę, nie licząc tych pieniędzy, które zapłacił Borowicz za przysługę. Te pieniądze pójdą do podziału między was obu. Ale na tym nie koniec.

— Jestem na usługi pana komisarza — skłonił się niezgrabnie Laluś.

— Słuchajcież, moi chłopcy, o co was chcę prosić. Znacie pana Barłampa młodszego? Pana Olesia?

— Ach, się wi! Bo to raz zalał nam sadła za skórę?

— Mniejsza, dzisiaj potrzebuje on waszej pomocy i, myślę, nie zapomni wam tej przysługi. A pamiętaj także o tym, Bulwa, że to za moim wstawiennictwem zmieniono ci areszt na dozór policji i jesteś na wolności.

— Stokroć jestem wdzięczny panu komisarzowi za to.

— Słuchamy, słuchamy... — zwrócił Laluś uwagę na sedno rzeczy.

— Pan Barłamp zniknął, porwany przez ludzi Borowicza, czy też przez niego samego — objaśniał komisarz — i został gdzieś ukryty. Musicie mi się postarać w ciągu najbliższego czasu odnaleźć

to miejsce, gdzie pan Barłamp się znajduje. Rozumiecie? Sprawa jest bardzo pilna.

— Postaramy się, panie komisarzu.

— No, to idźcie zaraz i zabierzcie się do roboty.

— A kiedy mamy się zjawić u pana komisarza?

— Każdej chwili, gdy tylko będziecie mieli jakąkolwiek wiadomość o miejscu pobytu pana Barłampa. — Przyjdźcie do mnie lub do pana Kulki — gdzie wam będzie bliżej.

Bulwa szurgnął nogami, Laluś zgiął się w jakimś pokracznym ukłonie i obaj wyszli z gabinetu. Po chwili zjawił się na ich miejsce Kulka.

— I cóż? Znalazł pan? — zapytał Krajewski surowo.

Agent wzruszył ramionami.

— I pan uważa, że wszystko jest w porządku?

— Pan komisarz widział przecież, że puszkę zamknąłem w szufladzie przed pójściem do Borowicza i nie rozumiem, co mogło się stać.

— Słuchajno pan, panie Kulka, przecież i panu powinno podpaść, że nikt obcy nie mógł tego cacka zabrać z pańskiej szuflady?

— To wykluczone.

— A więc kto?

— Ktoś miejscowy, ktoś z personelu.

— Ale kto? Kto?...

— Gdybym ja to mógł wiedzieć.

— Zajmij się pan zbadaniem tej sprawy — rzucił ostro komisarz. — Cicho, bez hałasu, nieznacznie, roztocz pan opiekę nad wszystkimi.

— Rozkaz, panie komisarzu.

— A bądź pan w pogotowiu, bo może udamy się po Barłampa.

— Czy pan komisarz ma jakie dane?

— Będę miał — może dziś, może jutro.

Agent skłonił się i opuścił gabinet.

XVI.

Ostatnie stawki

Borowicz miał jeszcze trzy dni czasu do ostatecznego terminu, wyznaczonego mu przez Hindusów. A im bliższy był ten termin, tym większy niepokój go ogarniał. Lila, pouczona przez Krajewskiego, nie opierała się już, nie okazywała swojej jawnej animozji, ale gdy Borowicz żądał ustalenia ostatecznego terminu ślubu, wynajdywała zawsze coraz to nowe przeszkody. W końcu mister John miał dość tej komedii i tego dnia udał się do mieszkania Krupińskich, aby ostatecznie rozmówić się zarówno z córką, jak i z matką. Przyjęto go tam dość ciepło, nie okazując najmniejszego niezadowolenia.

— Jakże się czujesz, moja maleńka? — powitał Borowicz Lilę tymi słowami, uśmiechając się niewyraźnie i jakby jakoś smętnie.

— Doskonale — odrzekła. — Ale, ale... mam dla ciebie nowinę — zawołała naraz Lila.

Borowicz spojrzał na nią ciekawie i spytał:

— Czy doszłaś w końcu do wniosku, moja maleńka, że czas zakończyć nasze narzeczeństwo małżeństwem?

— Czemu ci tak śpieszno? Czyż nie dobrze nam tak z sobą?

— Nie lubię szczęścia połowicznego.

— Ależ, chłopczyku, miej trochę cierpliwości.

— Okazałem jej więcej, niż sam przypuszczałem. Moja maleńka, czemu się drożysz? Ja już, niestety, niedługo muszę wyjechać z powrotem do Indii, gdzie powołują mnie interesy i pragnąłbym zabrać ciebie ze sobą, jako moją najmilszą i najukochańszą żoneczkę... Ale a propos — cóż to za nowinę miałaś mi zwiastować?

Lila spochmurniała na jeden przelotny moment, po czym podniosła swoje wielkie oczy na Borowicza i rzekła krótko:

— Stadnicki depeszował o swoim przyjeździe.

— Stadnicki? Przecież on u ciebie już moriturus.

— Pragnie rozmówić się ze mną po raz ostatni.

— A ty? Zapewne odmówiłaś mu?

— Dlaczego? Przez wzgląd na nasze dawniejsze stosunki, powinnam go wysłuchać.

Borowicz zagryzł usta z niezadowolenia i jednocześnie zrozumiał, że przyjazd Stadnickiego zagraża mu bezpośrednim niebezpieczeństwem. Przekonał się już, że człowiek ten wymknął się spod jego kontroli, a jakaś obca wola zaczyna paraliżować wszelkie jego poczynania. Nieubłagany, nieprzekraczalny termin wyznaczony mu przez delegatów rady kapłańskiej, zbliżał się, jak dzień sądu. Jego władcy indyjscy z Kalkuty — przynaglali do pośpiechu. Zrozumiał, że i tak stracił bardzo dużo czasu bezproduktywnie, traktując kaprysy Lili tak pobłażliwie. I zrozumiał rzecz drugą, a mianowicie, że jeśli chce wygrać ten bój o milion w złocie po zmarłym gdzieś tam w Indiach Krupińskim, o którym w swoim czasie opowiedział tak ładnie skomponowaną bajeczkę obu paniom, musi stoczyć ostatni, bezpardonowy bój zarówno z samą Lilą, jak i z tymi wszystkimi, którzy mu na drodze do szczęścia próbowali stanąć. Dlatego naprzód zapytał:

— Kiedy pan Stadnicki zapowiedział swoją wizytę?

— Na jutro o godzinie jedenastej z rana.

— Więc wraca gdzieś w nocy dnia dzisiejszego?

— O godz. 1.20 w nocy będzie na dworcu.

Przelotna jakaś zaduma osiadła na twarzy mister Johna. Odpędził ją jednak prawie natychmiast i następnie zwrócił się do Lili:

— Zanim rozmówisz się z panem Stadnickim pragnę jednak, abyś uprzednio dała mi ostateczną, wiążącą odpowiedź, czy godzisz się, aby jutro odbyły się nasze zapowiedzi za indultem, a w poniedziałek nasz cichy ślub?

Lila drgnęła niespokojnie.

— Czemu ci tak śpieszno, Janku?

— Czy nie dość czekałem?

— Mój drogi chłopczyku, jeżeli kochasz mnie prawdziwie, jak mnie o tym zapewniasz, odłóżmy jeszcze ten termin.

— Niestety, nie mogę. Za kilka dni muszę być w drodze do Indii, a nie chcę odjeżdżać stąd bez ciebie. Jest to mój punkt honoru, który ty, mam nadzieję, zechcesz uszanować.

— Ach, po co ten pośpiech. Jeszcze znajomi pomyślą, że...

— Nic mnie nie obchodzą znajomi i nie mam potrzeby liczyć się z ich opiniami.

— Niestety jednak — ja liczyć się muszę.

— Lilu — po co te zwłoki? Po raz ostatni proszę cię o zgodę.

— A gdybym się nie zgodziła?

— Zmuszony będę użyć innych środków, a wiesz chyba, że byłoby mi z tego powodu ogromnie przykro, boć tu o ciebie chodzi.

— Nie, nie, daruj mi, ale... zanim nie rozmówię się z panem Stadnickim, nie mogę decydować w tej sprawie.

— On przecież porzucił cię, zerwał z tobą.

— Tak, tak, to prawda, a jednak... Tyle lat kochaliśmy się, że sentyment do niego wciąż we mnie jeszcze pozostał. Powiedziałam ci to już nieraz i ty godziłeś się z tym.

— Ale dzisiaj nie chcę się już z tym godzić i dlatego żądam kategorycznie i najbardziej stanowczo, abyś wyraziła swoją zgodę na moją propozycję.

— Nie, nie, jeszcze nie... — odrzekła prosząco Lila.

— Rzekłem. Tak będzie, jak to postanowiłem. Twoje dokumenty, potrzebne do ślubu, mam u siebie. Zaraz jadę do księdza i dam na zapowiedzi. Jutro zostaną ogłoszone kolejno wszystkie trzy zapowiedzi, a w poniedziałek pojedziemy ze świadkami do kościoła i weźmiemy cichy ślub. We wtorek powinniśmy już być w drodze do Kalkuty. Nie zapominaj o tym i przygotuj się do drogi.

Lila nic nie odrzekła, a Borowicz, ogarnięty naraz jakąś dziwną żądzą czynu, pożegnał ją i pojechał na dworzec kolejowy. Spotkanego na stacji dozorcę kolejowego zapytał o godzinę przyjścia pociągu katowickiego, idącego z Krynicy, a zanotowawszy ją, wszedł do dyżurnego ruchu.

— Pardon, pan pełni obowiązki dyżurnego ruchu? — zapytał młodego człowieka w czerwonej czapce, pochylonego nad jakimś papierami.

— Tak, a o co panu chodzi — podniósł na pytającego niebieskie, jasne oczy urzędnik.

Borowicz wpił się całą mocą swego spojrzenia w te oczy, a w myślach powtarzał nakaz:

— „Odpowiesz na pytania, które ci postawię... Odpowiesz na pytania, które ci postawię..."

Dyżurny doznał dziwnego jak gdyby osłabienia czy sparaliżowania i nie mógł już oczu oderwać od tych dziwnie błyszczących, fosforowych oczu pochodni nieznanego człowieka.

— Może zechce mi pan powiedzieć, kto prowadzi pociąg Nr. 816, który przychodzi na tutejszą stację o godzinie 1,20 w nocy?

Dyżurny powstał z miejsca jak automat i sztywnym, drewnianym niemal krokiem podszedł do półki z książkami. Zdjął jedną z nich, otworzył na odpowiednie stronie i odrzekł:

— Stanisław Figurski, maszynista pierwszej klasy.

— A pomocnik?

— Felicjan Machałek.

— Ich adresy? Czy mieszkają oni w Łodzi?

— Tak, w Łodzi — odrzekł jakimś dziwnym głosem dyżurny i podał Borowiczowi żądane adresy.

— Dziękuję — rzekł mister John, dotykając jednym palcem kapelusza i opuścił biuro. Urzędnik stał jakiś czas na tym samym miejscu, na którym pozostawił go Borowicz, po czym położył książkę na półce, wrócił na swoje miejsce i pochylił się nad papierami, wciąż jeszcze pozostając w transie. Po chwili jednak otrząsnął się, jakby spędzał sen z powiek i rozejrzał uważnie po pustej izbie.

— Co, u licha! — zawołał głośno. — Przecież wydawało mi się, że ktoś tu wchodził, pytał o coś i następnie wyszedł. Tfuj, do czorta, czy mnie diabeł za nos wodzi? A przecież wyspałem się należycie.

Tymczasem Borowicz, opuściwszy izbę dyżurnego ruchu, wsiadł do samochodu i pojechał naprzód do mieszkania maszynisty Figurskiego. Przedstawił się żonie, jako Sosnowski, przedstawiciel Ministerstwa Komunikacji i objaśnił cel swojej wizyty w ten sposób:

— Ministerstwo wydaje album pamiątkowych wszystkich swoich pracowników i potrzebujemy fotografii. Dlatego objeżdżam osobiście wszystkich funkcjonariuszów i zbieram ich podobizny. Czy więc posiada pani fotografię męża i czy zechce mi ją pani wypożyczyć?

Kobiecina ucieszyła się ogromnie, pojmując w lot o co chodzi.

— To niby, proszę pana — zauważyła tylko jeszcze — fotografia ta będzie na gazecie?

— Tak, „na gazecie".

— O, to ja panu zaraz dam taką fotografię mojego starego.

Po tych słowach pobiegła do komody, wyjęła z niej plik papierów i wyszukawszy fotografie męża w mundurze kolejowym, podała ją Borowiczowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żyje krwawy dyktator Sowietów?

Informacje, przenikające z Kremlu, są bardzo skąpe

Dzień roboczy na Kremlu zaczyna się wcześnie. Punkt o dziewiątej zasiada Stalin do biurka. Nie jest to biurko w ścisłym tego słowa znaczeniu. Raczej olbrzymiej długości stół, od góry do dołu zarzucony papierami, aktami, książkami i gazetami. Stalin lubi mieć wszystko pod ręką. W głębi gabinetu stoi rząd szaf pancernych. Zawierają one najcenniejsze tajemnice Stalina dotyczące jego „przyjaciół", zapiski kompromitują-

Józef Wissarionowicz Stalin.

(właściwe jego nazwisko: Dżugoszwili, z pochodzenia Gruzin), obecny władca, dyktator i główny kierownik polityczny Rosji sowieckiej po zgonie Lenina. (W. c. B. I. 5007)

Jak żyje, co robi, jaki tryb życia się przeciwstawić dyktatorowi.

Jak żyje, co robi, jaki tryb życia pędzi Osip Wissarionowicz Stalin? Ostatnie krwawe wydarzenia zwróciły na niego baczną uwagę Europy. Czy może poprostu zwariował? Informacje, przenikające dziś z tamtej strony, brzmią bardzo skąpo, tym ryzykowniejsze są dociekania i fantazje ludzi z Zachodu.

Essad Bey, wybitny publicysta i wróg sowieckiego reżimu wydał niedawno interesującą biografię Stalina. Rzuca ona nowe światło na tę najbardziej ponurą postać XX-go wieku.

I tak w dnie gorące i krwawe dyktator nie opuszcza Kremlu, rezydując we wspaniałych, obszernych komnatach carów.

Stalin jada osobno i wyszukanych potraw nie znosi. Ma on własną kucharkę, współplemienkę z Gruzji, która przyrządza mu potrawy proste. Ale czy ten system ma być bezpieczniejszy? Stalin nie zapomniał jeszcze, jak przed paru laty pod bokiem otruto mu przyjaciela.

Na zdążył okiem mrugnąć i już było po wszystkim. Był to Gukowskij, rodem z Baku, przyjaciel lat dziecinnych, później poseł w Rydze. „Zawołajcie mi zaraz Kobę, już ja mu wszystko opowiem", tak brzmiały ostatnie jego słowa. Ale Stalina nie przywołano i nigdy nie dowiedział się on, kto i czym otruł oddanego drucha.

Dyktator ma już czwartą żonę.

O dziewiątej zaczynają się konferencje, audiencje, posiedzenia. Stalin sam otwiera tę wielką machinę co rano i sam ją co wieczór zamyka. Po 16 i 18 godzin na dobę siedzi nieraz zgarbiony nad biurkiem, a papierki oddychają tymczasem życiem wielu milionów ludzi. Jeden podpis wystarczy, aby te oddechy zatrzymały się na zawsze.

W tych warunkach na prywatne życie nie wiele pozostaje czasu. Zamłodu — o czym nikt prawie nie pamięta — ożenił się Stalin z pewną młodą Gruzinką, Swanidze, która zmarła przed rewolucją na zapalenie płuc. Z nią właśnie miał syna, który umarł przed kilkoma miesiącami w Tyflisie.

Później, już u szczytu władzy ożenił się 50-letni Stalin z 15-letnią Nadią Allelujewą, również rodem z Południa. Była to cicha i porządna dziewczyna, wychowana jak wszystkie wschodnie kobiety. O ile żony innych dostojników kremlowskich, którym dojście do władzy przewróciło w głowie, po całych dniach oddawały się plotkom i intrygom, Nadia Stalinowa była spośród nich wyjątkiem. Nikt nigdy nie słyszał o skandalu, któryby wywołała. Złośliwi opowiadają, że Stalin wschodnim obyczajem, opuszczając mieszkanie, zamykał żonę na klucz...

Ale i Nadia Allelujewa nie długo żyła. Wtedy przyszła kolej na Reisę Kaganowicz, córkę Mojżesza Kaganowicza, który był zastępcą komisarza przemysłu wojennego. Panna Reisa, piękna bardzo brunetka o wielkich piwnych oczach, przez lata pełniła obowiązki prywatnej sekretarki dyktatora. Powiadają, że umyślnie podsunęli mu ją bracia Kaganowicze, żeby mieć większy wpływ na dyktatora. Przed paru laty Stalin poślubił pannę Kaganowicz, ale już po roku rozwiódł się z nią. Po raz czwarty ożenił się z Ireną Sebiów, czternastoletnią blondynkę, która zajmuje odpowiedzialne stanowisko w komisariacie przemysłu wojennego.

W domu większość wolnego czasu spędza na lekturze.

Czyta, uczy się. Zdaje sobie bardzo dobrze z tego sprawę, że w edukacji ma pewne braki, że wykształcenie na kleryka, jakie odebrał częściowo w klasztorze, nie wystarcza, żeby rządzić Rosją. Głównie interesuje go lektura, dotycząca ruchu marksistowskiego, sprawy gospodarcze, polityka. Beletrystyki ani poezji nie bierze do ręki. Z pisarzy rosyjskich ceni najwięcej miernego zresztą krytyka, Pisarewa. Ale podobało się mu jedno zdanie, które u tego pisarza przeczytał: „Legendy zostają zapomniane, czyny pozostaną" i to go bardzo zafrapowało.

Kiedy go zmęczy lektura, idzie w kąt pokoju, gdzie stoi jego ulubiony instrument muzyczny, pianola. Tak, pianola. Stalin jest wielbicielem pianoli. Zasiada przy niej, zakłada rolkę i słucha. Najchętniej słucha marsza żałobnego Szopena, jak pisze Essad Bey, ale lubi także posłuchać aryj z „Aidy" i z „Eugeniusza Oniegina". Tak zasłuchany w dźwięki pianoli, siedzi nieruchomo po kilka godzin, póki ktoś z otoczenia nie odważy się poruszyć go za ramię; już świta, czas położyć się do łóżka.

Zdając sobie sprawę z braku wykształcenia, podjął Stalin przed kilku laty naukę obcych języków. Zaczął od angielskiego, którego uczyła go pani Litwinow (rodowita jak wiadomo, Angielka). Ale nauka nie szła; widząc beznadziejność wysiłków w kierunku opanowania angielszczyzny, przerzucił się na niemiecki. Nauczył się tyle, że z trudem może odcyfrować jakieś zdanie Marksa.

Zakazał matce chodzić do kościoła.

Utrzymuje stosunki tylko z najbliższymi; dawniej należeli do nich Ordżonikidze, Kaganowicz (przed wojną był siodlarzem), Mikołaj, Woroszyłow. Z tych już kilku odpadło. Coraz bardziej czuje się Stalin osamotniony. Jego brutalność, chamstwo w codziennym obejściu, zmroziło nawet najbliższych.

Z matką nie komunikował się już od wielu lat. Staruszka, która całe życie była religijną i pracowała jako szwaczka, nie mogła przywyknąć do nowego życia w które ją wtłoczył Koba. Kazał jej zamieszkać w jednym z pałaców tyfliskich i zakazał uczęszczać do cerkwi. Mimo protestów namiestnika tyfliskiego, towarzysza Eliawa, starsza pani przemykała się chyłkiem do cerkwi i wolała rezydować w skromnej komórce pałacowej, niż w rozległych apartamentach dawnego gubernatora. Przed śmiercią nalegała, żeby ją pogrzebano po chrześcijańsku. Stalin, który na pogrzebie nie zjawił się, przysłał depeszę zakazującą kościelnego pogrzebu.

Jego stosunek do najstarszego syna, był okrutny. Stalin chciał, żeby syn został inżynierem. Kiedy chłopak nie zdał egzaminu w wyższej szkole technicznej, Stalin wysłał go natychmiast do Gruzji z takim pożegnaniem: „Kiedy nie chcesz zostać inżynierem, będziesz przez całe życie szewcem" i oddał go na praktykę do fabryki obuwia. Niedawno syn ten umarł na zapalenie płuc.

Czy mu się uda uniknąć przeznaczenia?

Stalin nie używa alkoholu. Czasami tylko, kiedy ma gości, każe dla nich wydobyć flaszkę łagodnego wina krymskiego. Nie potrafi się także ubierać. Całymi latami nosi ten sam połatany kubrak, gęsto świecący plamami. Nie robi tego dla przykładu, tylko poprostu z przyzwyczajenia. Przez większą część życia nie stać go było na nowy garnitur.

W sprawach pieniężnych jest uczciwy i pedantyczny. Pamięć ma przy tym wyborną. Kiedyś zjawiła się na Kremlu delegacja starych, bojowych towarzyszy rewolucyjnych. Witając się z nimi zatrzymał się nagle dłużej przy jednym i zapytał: „Czyście, towarzyszu, nie mieszkali w roku 1906-tym w Rostowie pod nazwiskiem X?" Tamten, zdumiony, przytaknął. Stalin zagryzł wargę i zawołał: „Teraz sobie przypominam, ukradliście wtedy, towarzyszu, 26 rubli z kasy prywatnej".

Latem przenosi się Stalin z Kremlu do wsi Gorki pod Moskwą, gdzie żył i umarł Lenin. Dom otoczony jest dniem i nocą agentami. Ludzie ci są znienawidzeni przez okoliczną ludność, gdyż tropią ją przy lada podejrzeniach, wciąż rewidują, szykanują. Ta nienawiść ludności wiąże tym bliżej agentów ze Stalinem. — Wiedzą oni, że na wypadek śmierci Stalina, ludność okoliczna rozszarpałaby ich w okamgnieniu.

Przed dziewiątą zajeżdża po dyktatora opancerzone auto marki Roll-Royce, wykonane na zamówienie w fabryce londyńskiej. Zajmuje w nim miejsce Stalin i pod eskortą uzbrojonych agentów udaje się do Kremlu. W czasach niepewnych, jak obecnie, wpierw przed dom w Gorkach zajeżdża, aż sześć identycznych samochodów. Nikt nie wie, w którym zajmie miejsce dyktator, jaką pojedzie drogą i przez którą spośród sześciu bram Kremla będzie przejeżdżał.

Tych samych sześć samochodów opuszcza Kreml wieczorem.

Oto środki ostrożności, jakie stosuje krwawy satrapa Rosji.

Czy mu się uda uniknąć przeznaczenia?...

Widok na Moskwę. W głębi Kreml, siedziba krwawego dyktatora. (B. I. 5005)

CZYTELNICY „Ilustracji Polskiej"

otrzymają bezpłatnie broszurę z opinją lekarzy całego świata, jak można odmłodzić się i zupełnie wyleczyć się z zaziębienia, reumatyzmu, kataru kiszek, artretyzmu, choroby nerek, trawienia, złego obiegu krwi, niemocy płciowej, rozstroju nerwowego, bezsenności i in. — — — —

Piszcie do nas po polsku na adres:

N. KALEFLUID,

66, Bld. Exelmans, 66. — **Paris** (16e)

Fank HIVES.

Schronisko, w którym straszy

Niesamowita historia z zachodnich wybrzeży afrykańskich, opowiedziana przez byłego administratora kolonii, który przesłużył tam wiele lat. Mr. Hives, który opublikował tę opowieść w „The Wide World Magazine", ręczy za prawdziwość wszystkich przytoczonych faktów i podaje autentyczne nazwy miejscowości. Czytelnicy nasi bezwątpienia zainteresują się dziwną tą przygodą.

W czasie długotrwałego pobytu mego na zachodnim wybrzeżu afrykańskim, miałem kilka niesamowitych i nie dających się wytłumaczyć ludzkim rozumem przygód. Muszę jednak wyznać, że najbardziej osobliwym i — powiem bez ogródek — strasznym ze wszystkich było pewne zdarzenie, które mi się przytrafiło w roku 1925, kiedy urządzono nowy okręg na rzeką Krzyżową (Cross River).

Nie wątpię, że wiele osób nie uwierzy mym słowom, które zamierzam właśnie przelać na papier, i przypisze raczej całą tę historię złudzeniu, kiepskiemu trawieniu lub sennemu widziadłu. Zresztą ja osobiście nie staram się bynajmniej wyjaśnić owego przedziwnego faktu, albowiem jest on dla mnie samego absolutnie niepojęty.

W owym czasie mianowany zostałem administratorem okręgu Bandi, położonego w jednej z południowych prowincyj Nigeru. Otrzymawszy instrukcje co do traktowania szczepów, które miały podlegać mej władzy, udałem się na miejsce przeznaczenia na czele oddziału żołnierzy tubylców, którzy przeszli już kolonialną służbę wojskową. Właściwie oddział składał się z kilkunastu tragarzy i kilkudziesięciu żołnierzy. Prócz tego miałem tłumacza, ordynansa, czterech policjantów murzynów, dwóch gońców, i trzech służących osobistych.

Zziajany i spocony doszedłem nareszcie do obszernej piaszczystej polany, na której rosło kilka palm. Ujrzałem niskie, szare budynki. Domyśliłem się, że było to schronisko dla mnie wraz z barakami dla żołnierzy krajowców.

Schronisko to było typowym domkiem zachodnio-afrykańskim. Ściany jego, mierzące sześć stóp wysokości, ulepione zostały z szlamu czerwonego. Dach tworzyły liście palmowe Były tam dwa pokoje, przedzielone szerokim korytarzem. Sufitów nie było i krokwie krzyżowały się u szczytu środkowego słupa, którego wysokość wynosiła 14 stóp. Podłoga była z gładko ubitej czerwonej gliny.

Domek był okolony ogrodzeniem ze szlamu i wicin, wysokości przeszło 3 stóp, z otworami, które pozwalały przedostać się na werandę, zbudowaną z takich samych materiałów. Pomieszczenie dla służby i żołnierzy oraz kuchnia mieściły się jakie 60 kroków na lewo od schronu, tak, że pomiędzy budynkami rozpościerała się szeroka, wolna przestrzeń.

Kiedy po zachodzie słońca zacząłem się rozkoszować chłodnym powietrzem, uczułem nagle jakiś specyficzny nieprzyjemny zapach, który nie dochodził z jednego określonego miejsca, ale zdawał się przenikać cały dom. Odór ten trudno byłoby określić, chociaż nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że pochodzi on z rozkładających się ciał.

Przywoławszy służących, kazałem im odnaleźć źródło zepsutego powietrza i usunąć z domu rozkładającą się padlinę. Zabrali się do roboty, ale niezbyt gorliwie i po powierzchownym szukaniu oznajmili mi, że nic podejrzanego nie udało im się znaleźć. Ze sposobu ich postępowania wywnioskowałem, że przystąpili do poszukiwania bez najmniejszej wiary w powodzenie, przeciwnie, z góry byli przekonani o bezowocności tych zabiegów. Spoglądali przy tym wzajem na siebie przestraszonym wzrokiem i chcieli widocznie jak najprędzej powrócić do swych baraków. Zwłaszcza zbudziło me podejrzenie dziwne zachowanie się mego boy'a, który przesłużył u mnie już dwa lata. Trzymając w ręku zapaloną latarnię, kręcił się w mym pokoju, rzucając wystraszone spojrzenia do ciemnych kątów. Kiedy zwracał się twarzą do mnie, oczy jego miały wyraz błagalny. Zdawało mi się, że chce mi coś powiedzieć, lecz brak mu odwagi. Byłem jednak zbyt zmęczony, żeby się przejmować podobnymi głupstwami.

Kazałem przeto wszystkim odejść i pozostałem sam jeden. Aby możliwie najdalej usunąć się od wyziewów, ustawiłem swe łóżko polowe na werandzie wzdłuż ściany. Obok postawiłem składany stolik, na którym umieściłem lampę. Fotel, książka urzędowa i drugi stolik składany znajdowały się w odległości jakich ośmiu kroków, tak, iż usłyszałbym, gdyby ktokolwiek się do nich dobierał w nocy.

Nie czułem się jakoś swojo. Nie dość, że wyziewy były bardzo przykre; było w całym otoczeniu coś niesamowitego, nienaturalnego, co sprawiało wrażenie, jakby pochodziło nie z tego świata. Kiedy zapadł zmrok, zacząłem się wpatrywać w mroczne i ciemne kąty, chociaż nie mogłem sobie wyjaśnić, czego właściwie szukałem. Wreszcie rozciągnąłem się na łóżku, gdyż byłem bardzo zmęczony i śpiący.

Chciałem nieco poczytać i zgasić później lampę, ale nie szło mi z czytaniem sporo. Odłożyłem książkę, lecz zasnąć nie mogłem. Leżałem więc w półśnie, gdy naraz coś mnie pobudziło, abym powstał z miejsca. Okrążyłem dom wokoło, zaszedłem do obu próżnych pokojów, ale nic niezwykłego tam nie spostrzegłem. Pomimo to nie mogłem się rozstać z myślą, że „coś" zdawało się być bardzo blisko mnie, kiedy się znajdowałem w korytarzu, lecz oddaliło się później, kiedy doszedłem do końca werandy, gdzie umieściłem swe łóżko.

Obejrzawszy swój rewolwer i sprawdziwszy, że jest naładowany i znajduje się w należytym porządku, umieściłem go pod poduszką, wpakowałem się znów do łóżka, zasłoniłem je firankami przed moskitami i ułożyłem się wygodnie. Lampa paliła się dobrze a zapałki leżały pod ręką. Miałem nadzieję, że oliwy starczy na noc, marzyć zaś po ciemku nie jest w moim guście.

Było już koło dziesiątej. Hałasy z pobliskiej wioski przestały już zupełnie dochodzić. Zamigotało niekiedy światełko u któregoś z naszych tragarzy, ale wkrótce zapanowały ciemności nieprzeniknione. Lampa oświetlała jedynie przestrzeń kilku stóp wokół mnie. Znajdowałem się jakby w centrum oazy świetlnej, pośród oceanu ciemnej nicości. Żaden dźwięk nie dochodził z baraków, w których nocowali służący i żołnierze. Jedno z dwojga: albo wszyscy głęboko zasnęli, albo leżeli zesztywnieni ze strachu, stłoczeni razem w kupę, aby czuć dotyk czegoś ludzkiego. Omal im nie zazdrościłem.

Leżałem na wznak ze wzrokiem wlepionym w tajemniczą zasłonę ciemności, pragnąc jak najprędzej zasnąć, i jednocześnie obawiając się nawet chwilowej utraty przytomności, myślałem: co właściwie spowodowało, że miejsce, w którym się znajdowałem, czyniło tak przygnębiające wrażenie.

Cisza była przerażająca. Z trudem się powstrzymywałem, by nie zacząć krzyczeć ze zgrozy. Nawet świerszcze przestały się odzywać. Cały świat zdawało się zamarł.

Po dłuższym czuwaniu byłem bardzo znużony i gorąco pragnąłem usnąć. Zaczęły mi już majaczyć jakieś senne widziadła, gdy znów się ocknąłem na skutek okropnego odoru, który tym razem, zdawał się dochodzić od strony otworu w ścianie werandy. Otwór ten znajdował się tuż u mych nóg.

Zapach ten stawał się coraz nieznośniejszy. Jednocześnie ogarniać mnie znów zaczęło uczucie jakby nie z tego świata. Zimny dreszcz zgrozy wstrząsnął moim ciałem. Miałem wrażenie, że czaszka moja zlodowaciała zupełnie; zęby szczękały mi z zimna. Siedziałem na łóżku skamieniały, niezdolny poruszyć ręką lub nogą.

Nie mogę sobie zdać sprawy, jak długo to trwało. Nagle coś się poruszyło zewnątrz otworu w werandzie.

Przede wszystkim rzuciła mi się w oczy głowa bardzo starego krajowca. Następnie ukazało się ciało, które pełzało, opierając się na rękach i kolanach, nie czyniąc najmniejszego szelestu.W tym stworzenie to znalazło się w świetle lampy, dzięki czemu mogłem je dobrze zaobserwować.

Bardziej obmierzłej istoty, zdaje mi się, nigdy przed tym nie widziałem. Twarz miała usianą śladami po ospie, głowę łysą, ciało zaś podobne było do pomarszczonej spleśniałej skóry. Na łysej głowie między kępkami siwych włosów, widniały jakieś blizny i plamy. A oczy — ach, te straszne oczy! Nigdy ich nie zapomnę! Utkwił mi zwiaszcza w pamięci moment, kiedy się ta istota odwróciła w moją stronę. Oczy jej były bez życia i wyrazu — martwe, nieruchomo w jakiś punkt wlepione. A pod nimi były okropne bezwargie usta, nawpół rozchylone, dolna szczęka zwisała jak u trupa.

Wolno i milcząco łaziło to straszne zjawisko po werandzie. Było całkiem nagie i trzymało w jednej ręce krajowego wyrobu sznur, który wlokło za sobą.

Istota ta nie zwróciła najmniejszej uwagi na mnie, na lampę lub jakikolwiek przedmiot materialny. W pewnym momencie znalazła się w odległości trzech kroków zaledwie ode mnie. Byłem literalnie zlodowaciały ze strachu. Chciałem krzyknąć, ale gardło moje było jakby sparaliżowane a wargi odmawiały posłuszeństwa. Nadomiar złego lampa paliła się coraz słabiej. Byłem w strachu, że zgaśnie zupełnie i pozostanę po ciemku z tym okropnym upiorem.

W tym w półmroku ujrzałem, jak ta istota staje zwolna na nogi, póki wreszcie nie wyprostowała się zupełnie, obrócona twarzą ku mnie. Mierzyła nie więcej jak 4 stóp i 6 cali wysokości. Była to postać starego zgrzybiałego krajowca: w ręku wciąż trzymał on kawał sznura. Zwolna podniósł ramiona, uchwycił się jakiejś wystającej części werandy i począł wspinać się po prostopadłym słupie, podpierającym dach.

Zaledwie jego stopy opuściły ziemię, odzyskałem swobodę ruchów i przytomność umysłu. Wymierzywszy weń z rewolweru, krzyknąłem: „Guzu" (stój). Upiór nie reagował na to. Powtórnie krzyknąłem: „Guzu", co również nie zwróciło jego uwagi.

Wówczas dałem dwa strzały jeden za drugim... Oczekiwałem natychmiastowego upadku ciała, ale nic się nie stało. Kreatura wspinała się w dalszym ciągu, dosięgła wreszcie krokwi, taszcząc wciąż za sobą sznur i nie czyniąc najmniejszego szmeru.

Powstawszy, ruszyłem przed się, póki nie zatrzymałem się w odległości trzech stóp od starego człowieka i wystrzeliłem znów. Znów nic się nie stało i figura wspinała się w dalszym ciągu.

Wówczas dopiero zrozumiałem, że cokolwiek to było, nie było w każdym razie ludzkim stworzeniem. Strzały me przeszły przez jego środek, nie przyczyniając mu jednak najmniejszej szkody.

Uciekłem... Nie przez otwór, przez który weszło widziadło, lecz przez jakąś dziurę, znajdującą się w końcu werandy obok mego łóżka. Biegnąc, krzyczałem przeraźliwie, zwołując chłopców, policję, mieszkańców. Jednocześnie wystrzeliłem dwa razy w górę, aby ich obudzić.

W barakach powstało wielkie zamieszanie. Rozległy się okrzyki, nawoływania, powiewano białymi płachtami, zapalono pospiesznie światła. Ale i wtedy nikomu z mego orszaku nie spieszyło się podejść ku mnie.

Podeszli wreszcie, ale gromadnie,

zniewoleni stokiem zaklęć i gróźb z mojej strony. Przynieśli ze sobą zapalone lampy i pochodnie, przyczem wyglądali tak przestraszeni, że niewątpliwie najmniejszy popłoch spowodowałby ich ucieczkę,

tym razem bezpowrotną.

Rozkazałem niezwłocznie kapralowi otoczyć dom, ale nie wchodzić do środka. Wymyśliłem historię, że jakiś złodziej dostał się przez dach i znajduje się wewnątrz. Jednocześnie poleciłem mu aresztować każdego, ktoby się odważył umknąć.

Przeszukaliśmy cały dom, ale bez skutku. Przykry odór dawał się obecnie znacznie mniej odczuwać. Odnalazłem obydwa otwory, wydrążone w słupie przez kule mego rewolweru, jeden nad drugim. Z rozmieszczenia tych otworów było widać, że każda z tych kul musiałaby przebić ową istotę nawskroś. Wyraźny był również znak, pozostały po trzeciej kuli na krokwi. Ślad ten również wskazywał, że kula osiągnęła cel. A tymczasem owa istota, nie tylko nie została raniona, ale nie pozostało nawet po niej jakichkolwiek śladów na piasku, którym weranda była usypana.

Dane te czyniły całe zdarzenie jeszcze bardziej tajemniczym. Co ja właściwie widziałem? Widmo? Ducha? Pomysł ten wydawał mi się niedorzecznym, albowiem, bez względu na naturę tego zjawiska, było ono pozornie materialne. A następnie... sprawa odoru.

Z nastaniem świtu zacząłem na nowo czynić staranne poszukiwania, ale również bez rezultatu. Nie udało mi się natrafić najmniejszy nawet ślad. Powietrze zaś wewnątrz domu odzyskało swą dawną świeżość i czystość.

Postanowiłem więc dowiedzieć się czegoś o dziejach terenu zaczarowanego, przyczem zgóry wiedziałem, że zwrócenie się w tej sprawie do miejscowych naczelników byłoby bezcelowe.

Staraliby się bowiem wzorem wszystkich ludzi pierwotnych jak najmniej wtajemniczyć białego człowieka w swoje sprawy.

Posłałem przeto tłumacza, aby wyszukał w okolicy inteligentnego krajowca, który byłby w stanie odpowiedzieć mi szczerze na moje pytania.

Po niejakim czasie wrócił tłumacz z dobrodusznym młodzieńcem, odzianym w koszulę koloru khaki i spodeńki. Młodzian poinformował mnie w znośnej angielszczyźnie, że jest zatrudniony jako kancelista w Kalabarze, obecnie bawi na urlopie i odnawia znajomość z ludźmi, których nie widział od wczesnej młodości.

Nie wtajemniczając go w moje przeżycia w ciągu ostatniej nocy, prosiłem, aby opowiedział mi dzieje schroniska, przyczem obiecałem mu oczywiście podarunek. Młodzian chętnie się zgodził. Oto, co usłyszałem z ust jego:

„Na długo przedtem, zanim biali przybyli do tej miejscowości, teren, na którym stoi obecne schronisko, stanowił część gruntu, poświęconego bożkowi Ju-Ju (czytaj:Dżu-Dżu) Rósł tam wtedy gaj, w środku którego stało drzewo bawełniane (cotton tree). Składano tam bożkowi w ofierze setki ludzi albowiem Ju-Ju, był niedobry, a jego główny ofiarnik był bardzo złym człowiekiem. To też zarówno tu, jak i na wiele mil wokoło, śmiertelnie się obawiano tego kapłana, który wybierał swe ofiary, skąd mu się żywnie podobało. Nikt nie był pewien życia i nie mógł też przewidzieć dnia, w którym sądzone mu będzie zginąć.

Jakie dwa lata, przed moim przyjazdem, oddziały wojskowe zajęły wieś na przeciąg kilku tygodni i komendant białych ludzi rozkazał krajowcom wybudować schronisko na gruncie, poświęconym Ju-Ju. Chociaż naczelnicy i ludność radzili budować na innych terenach, znacznie dogodniejszych, oficer okazał się twardy, jak skała, sądząc pewnie, że to jest najpewniejsza droga do wykorzenienia zabobonnych i dzikich obyczajów. Stary ofiarnik wpadł poprostu w szał wściekłości, widząc, jak obrażają to święte miejsce i gwałtownie protestował przeciwko temu. Wówczas biały człowiek zmusił ofiarnika, aby był obecny przy wycinaniu świętego gaju. Tego samego wieczoru ofiarnik rzucił czary i przeklął to miejsce, przysięgając zarazem, że żaden biały nie zazna nigdy spokoju w tym domu, wybudowanym na miejscu poświęconym Ju-Ju. Naczelnicy i cała ludność byli przerażeni tą klątwą, ale pomimo to zmuszeni byli budować dom. W dniu, w którym budynek został wykończony, biały oddział opuścił wieś.

Nazajutrz widziano starego ofiarnika, jak krążył wokoło budynku, powtarzając swą klątwę i lamentując głośno. Następnego zaś poranka znaleziono jego ciało powieszone na dużym słupie, podpierającym domek, pomiędzy obu pokojami. Dostał się pewnie przez wnętrze dachu, co było czynem niezwykłym dla starego człowieka, i powiesił się na kawałku sznura krajowego wyrobu.

Ludność była zbyt przestraszona, aby przeciąć sznur, to też wisiało, póki samo nie spadło na ziemię; wtedy szakale i świnie wiejskie załatwiły się z nim do reszty. Odtąd nikt się nie ważył podchodzić blisko do schroniska. Dużo zaś osób, które przejeżdżały przez wieś, widziało o zmierzchu starego ofiarnika, ciągnącego za sobą „sznur".

Kiedy młodzieniec skończył swe opowiadanie, zapytałem go, czy widział kiedykolwiek owego ofiarnika za życia. Odrzekł mi na to, że będąc dzieckiem, widywał go często. Ofiarnik był podług niego małego wzrostu, twarz jego była cała w grochy po ospie, skórę miał ze starości pomarszczoną. Głowa zaś była w znacznej części łysa, a znajdujące się gdzieniegdzie kępki siwych włosów poprzedzielane były również łysymi łatami. Będąc jeszcze dzieckiem, wpadł mianowicie w ogień i oparzył sobie skórę na głowie i na całym ciele.

Opis ten zgadzał się w zupełności z wyglądem widma, które ujrzałem ubiegłej nocy. Nie było co do tego żadnej wątpliwości. Dało mi to wiele do myślenia.

Na prośbę młodzieńca obiecałem mu, że go nie zdradzę przed naczelnikami lub ludnością. Ja jednak postanowiłem nie dopuścić do tego, aby inny biały człowiek miał przechodzić te same katusze co ja. Zwołałem więc naczelników i oznajmiłem im, że dom jest brudny i cuchnie. Budynek ten będzie spalony, a nowy stanie w miejscu, które wskażę.

Rzeczywiście budynek ten został wkrótce ku wielkiej radości tubylców doszczętnie spalony. Kiedy wyjeżdżałem ze wsi, na miejscu, gdzie stało schronisko, było już pogorzelisko.

Po pewnym czasie wystawione zostało nowe schronisko, w którym później nocowałem w najzupełniejszym spokoju. Grunt pod dawnym schroniskiem znów obrósł krzakami i jest zupełnie opuszczony. Nikt z krajowców nie odważa się przechodzić blisko tego miejsca, ponieważ jak mówią, „tam straszy".

Wyciąć i starannie zachować

NINIEJSZY

BON

udowadniający zakup nr. 229 „ILUSTRACJI POLSKIEJ" uprawnia Czytelnika do otrzymania wyższej zapomogi dobrowolnej, wypłacanej stałym abonentom „NARODOWCA" **w razie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku przy pracy** — w myśl warunków, ogłaszanych :-: w „NARODOWCU" :-:

Kandydaci na kasjerów

— Przyszli — oznajmił zawfindieł (skarbnik), wchodząc do gabinetu prezesa. — Biuro pośrednictwa pracy przysłało trzech do wyboru. Myślę, że pan każe wołać ich do siebie każdego zosobna. Trzeba bądźcobądź wybadać gdzie poprzednio byli zajęci i jak tam ze świadectwami? A to żebyśmy się znowu na defraudanta nie nadziali!...

— Tak! Tak! — pokiwał głową prezes.

— Jakże więc? Jednego za drugim wpuszczać?

Prezes milczał.

— Ot co — wstał nagle. — Dawać tu wszystkich trzech naraz. Wołaj ich pan!...

Zawfindieł otworzył drzwi i zawołał. Weszło trzech kandydatów na kasjerów. Pierwszy był to wysoki starzec z długimi palcami, jakby stworzonymi poto, by szybko obliczać nowiuteńkie czerwońce. Drugi kasjer okrągłutki, grubiutki, z łotrowskimi oczami był podobny do jubilera lub złotnika. Trzeci zaś — nieco młodszy, wyglądał w ten szczególny sposób, jak to zazwyczaj kasjerzy — wyniośle i obojętnie.

— Proszę, obywatele! — wskazał prezes krzesła i przeszedłszy się dużymi krokami po pokoju, zatrzymał się naprzeciw przybyłych:

— Ot co, powiedzcie mi obywatele zupełnie otwarcie, ileby tak każdy z was miał chętkę zdefraudować?

Zawfindieł spojrzał nań jak na wariata. Kasjerzy milczeli zdetonowani.

— To nie jest żart! — uśmiechnął się prezes — pytam się zupełnie serio! Proszę przyznać się z całą otwartością, jaka suma mogłaby skusić was do sprzeniewierzenia. Naprzykład pan — zwrócił się do starca — ileby pan zdefraudował?

Starzec wstał i przycisnął do krawatki swoje długie palce.

— Co, ja? — oburzył się. — Kraść zapracowane w krwawym trudzie kopiejki, oblane potem? Pan mnie za przeproszeniem znieważa! Ja, wybacz pan, protestuję stanowczo!...

— Niema więc takiej sumy na jakąby się pan zdecydował? — trzasnął palcami prezes.

— Niema! — energicznie potrząsnął starzec brodą i jeszcze mocniej przycisnął palce do krawatki.

— Dobrze! A pan? — skinął prezes na tłuściocha.

— Popełnić defraudację narodowych pieniędzy? Nigdy sobie na to nie pozwolę! — zdecydowanie podniósł się zapytany. — W karty nie gram, a co do kobiet, to nie dbam o nie!

— Tak, a pan? — zwrócił się prezes do trzeciego kasjera. — Ileby pan zdefraudował?

W przeciwieństwie do swoich poprzedników trzeci kasjer nie podniósł się nawet z krzesła i siedział niedbale i obojętnie.

— Hm! Widzi pan... Wziąłbym chyba z pół miliona! — rzekł nie śmiało.

— Pół miliona? — uśmiechnął się prezes. — A mniej? Pięćdziesiąt tysięcy? Dziesięć?

— Nie! — zaprzeczył trzeci kasjer, kręcąc głową. — Bagatelka, grosze! Nie warto!

Zawfindieł patrzył na niego z wyraźną ciekawością.

— Z tego co pan mówi, wynika, że gdyby u pana znalazło się pod ręką pół miliona, to tego... niby... fiuu! Pisz na Berdyczów! — uśmiechnął się prezes.

— Fiuu!... skinął głową trzeci kasjer. — Zgóry zapowiadam!

— I takich ludzi polecają do instytucyj państwowych! — ironicznie wtrącił starzec.

— Dobrze! — rzekł prezes do trzeciego kasjera. — Jesteś pan przyjęty! Jutro może pan przyjść do pracy. A wy obywatele jesteście wolni — skłonił się pozostałym.

Kiedy kasjerzy odeszli, zawfindieł rzucił się na prezesa z wymówkami:

— Co pan zrobił najlepszego? — załamał ręce. — Kogo pan przyjął?

Prezes spojrzał nań pobłażliwie.

— Nic pan u diabła nie rozumie! Ten ukradnie pół miliona, którego nie zobaczy u nas jak własnych uszu, a tamci dwaj, roztkliwiający się nad wypoconą kopiejką, nie pogardzą i dziesięcioma czerwońcami! Też psycholog z pana!

Nie udało się

Student Wesołko lubi się bawić i dlatego pieniądze, które mu przysyłają rodzice na studia, wydaje już w pierwszych dniach każdego miesiąca. W mieście, w którym się uczy, mieszka jego bogata ciotka. Pewnego razu odwiedza ją i powiada:

— Cioteczko kochana, ja tyle wydaję pieniędzy na książki, że nieraz mi braknie. Czy wolno mi w tym wypadku zwrócić się do ciebie?

— Naturalnie. Zawsze dostaniesz kawy i chleba z masłem!

Miłość.

— Proszę o dwa miejsca stojące. O ile możności obok siebie.

★

Modne małżeństwo.

— Nie obawiaj się, Janeczku. Ojciec przyrzekł mi pokrywać połowę naszych wydatków domowych.

— To dobrze, ale trzeba jeszcze znaleźć kogoś, kto pokryje drugą połowę.

Pustynna Sahara zamienić się może w urodzajną ziemię

Sztuczne morze użyźni martwy piasek

Przed tysiącami lat Sahara nie była martwą pustynią, jak obecnie. Wielkie jej połacie na krawędziach północnych były uprawiane. Krótkowzroczność jednak i nieoględność ludzka, które pozwoliły zniszczyć roślinność pokrywającą piaski, liczne wojny, które zrujnowały urządzenia nawadniające, oddały te tereny piaskom na zagładę, a dziś za bardzo już zmienił się klimat, za bardzo rozrosły wielkie tereny pustyni, by móc cokolwiek uratować i naprawić. Chyba tylko jakaś genialna idea mogłaby zniweczyć skutki dawnej ludzkiej nierozwagi. I otóż idea taka powstała. Powstała w umyśle człowieka, który przez lata całe pracował nad rozwiązaniem problemu ożywienia Sahary.

Był nim Belg, inżynier Soergel.

Plan jego dokładnie i drobiazgowo opracowany, poparty obliczeniami, nie jest bynajmniej fantazją. Należy jeszcze zaznaczyć, że plan ten jednocześnie rozstrzyga kilka zagadnień, a więc:

poza używaniem Sahary i zwalczeniem fatalnego klimatu kotlin środkowej Afryki, spowoduje usplawnienie największych rzek czarnego lądu.

Oto szczegóły tego genialnego planu:

Olbrzymia rzeka Kongo, stanowiąca zarazem rozsadnik zabójczej wilgoci na przestrzeni tysięcy kilometrów kw. zanim odprowadzi swe wody do Oceanu Atlantyckiego, musi się przebić przez wysokie wzgórza, otaczające zewsząd jej kotlinę. Jest to wąwóz szeroki 4-ch kilometrów, wyżłobiony przez istniejące w tym miejscu swego czasu morze. Pozostałe po spłynięciu do oceanu wody, stworzyły dzisiejszą rzekę Kongo.

Gdyby w tym wąwozie zbudować wielką tamę (długości 4 km.), co byłoby przedsięwzięciem imponującym przy dzisiejszym stanie techniki, powstałoby znowu wielkie morze Kongo.

Woda po spiętrzeniu do wysokości pięciuset metrów, zalałaby całą kotlinę i zaczęłaby się przelewać przez najniższą część wału w stronę jeziora Czad, a tym samym i w kierunku Sahary.

Jezioro Czad, podtrzymywane przez nieliczne i często wysychające rzeki, uzyskałoby potężny dopływ wód.

Leży ono zresztą o 100 metrów niżej od poziomu morza Kongo. I tu jest już podejście do samej Sahary: oto tworzący się nadmiar wód w jeziorze Czad spływałby aż do Morza Śródziemnego, przechodząc koło pustynnych gór Hoggaru.

Powstałby drugi potężny Nil, który nie tylko nawodniłby znaczne połacie Sahary, ale przez wielkie nagromadzenie wód, zmieniłby radykalnie i jej klimat, gdyż wilgoć sprowadziłaby opady.

Przez stworzenie tego drugiego potężnego rezerwatu wody, który twórca tego gigantycznego planu nazywa morzem Czad i przez odprowadzenie nadmiaru jego wód do Morza Śródziemnego, 2 miliony kilometrów kwadratowych Sahary byłyby zdatne do uprawy.

Równolegle do tego zagadnienia opracowany jest również plan stworzenia morza Wiktoria, zaczynającego się przy mieście Ligvingstone wodospadu Wiktorii. Ten rezerwat znowu mógłby zwalczać niezdrowy klimat dorzecza Zambezi i udostępnić dla uprawy pustynne tereny Kalahari.

Wracając jednak do zasadniczego planu genialnego inżyniera, trzeba zrozumieć i drugą wielką korzyść, jaką on daje. Mianowicie, przy odprowadzeniu tak wielkich ilości wód i przy zużytkowaniu ich do nawodnienia terenów suchych, malarycznych i nieznośnych dla kolonistów klimat Konga zmieniłby się zupełnie, główna bowiem jego przyczyna — rozlewiska wodne — zostałaby usunięta. Nie wyczerpuje to jednak wszystkich korzyści, jakie daje ten plan.

Nadmiar wód morza Konga, nie spadałby w postaci wodospadu, lecz przepuszczany przez śluzy, umożliwiłby komunikację wodną. Obok wielkiej tamy, odgradzającej rzekę Kongo od Atlantyku, powstałyby podobne śluzy i w ten sposób niedostępna dziś w wielu miejscach dla nawigacji rzeka Kongo, stałaby się ogromną arterią komunikacyjną.

Gdy zaś weźmiemy pod uwagę spływ wód do Morza Śródziemnego, to powstają zupełnie nowe wzdłuż całej Północnej Afryki.

Wielkie wodospady ogromnej tamy zachodniej przy spadzie wód z wysokości 500 - metrowej mogłyby poruszać elektrownie, dające potężną siłę. Zamiast piętrzyć wody aż do wysokości 500 m. i w ten sposób dopiero otrzymać wody do Czadu można by było przekopać nieco niżej tunel, którym wodą spływałaby na północ. Używanie Sahary

pozwoliłoby wielu milionom ludzi osiedlić się w Afryce,

znaleźć tam pracę i dobrobyt, a w dalszej konsekwencji nastąpiłoby kolosalne odciążenie dla przeludnionej Europy.

Co właściwie stoi na przeszkodzie realizacji tego programu? Nic w nim nie ma nierealnego, wszystko jest obliczone i nie przekracza ludzkich możliwości. Kapitały potrzebne na wykonanie tego dzieła powinnyby się znaleźć. Przecież w obłędnym wyścigu zbrojeń wydała Europa rocznie wiele miliardów; tu wystarczyłby jednoroczny budżet wojenny. Zaś wojna obecna pochłonie znacznie większe sumy.

Największą przeszkodę stanowiły armaty, stworzone przez imperializm, które trzeba było do czegoś użyć skoro się ich tyle już przygotowało. Inne państwa dla obrony zmuszone były również budować armaty i nie mogły się zajmować pięknymi projektami rozwiązania zagadnienia ludnościowego Europy.

Dopiero po obecnej wojnie, gdy raz na zawsze poskromione zostaną apetyty zaborcze sprawców wojny, być może dojdzie jednak do wykonania tego zapoznanego dotąd, twórczego planu.

Podróżujący beduini wśród piasków Sahary. (W. c. B. I. 5006).

Ciekawe drobiazgi

Z nędzarza wielokrotnym milionerem

Pewien farmer w miejscowości St. Helena, w stanie Orange, w Afryce Południowej, wiódł od dzieciństwa bardzo ubogi żywot. Kilku hektarowe gospodarstwo ledwie wystarczało na pokrycie jego skromnych potrzeb. Pewnego dnia farmer wyszedł w pole szczególnie zmartwiony. Za trzy dni miał bowiem wyznaczony ostateczny termin zapłacenia podatków, na które nie było pieniędzy, ani też żadnej możności ich zdobycia. Kiedy tak zmartwiony zapuścił pług w glebę nagle zgrzytnęło coś i na powierzchnię razem z odwaloną skibą wynurzył się kamień o dziwnym złotawym blasku. Farmer zainteresowany odkryciem zaniósł kamień do odległego o kilkanaście kilometrów miasta do zbadania i tu okazało się, że kamień zawierał cząstki złota. Przybyła na pole farmera komisja geologiczna stwierdziła, że w nieznacznej głębokości ciągnie się złotodajna żyła, której wartość obliczono na kilkadziesiąt milionów funtów szterlingów.

Tak to, dzięki przypadkowi, nędzarz stał się wielokrotnym milionerem.

Świecące parasole

Wymyślono je oczywiście w Ameryce. Już w tegorocznym dżdżystym zazwyczaj sezonie przedwiosennym pojawią się jako ostatni krzyk mody parasole z elektrycznymi żarówkami. Bateryjka, zasilająca je prądem, znajdować się będzie w rączce parasola. Wystarczy otworzyć parasol i nacisnąć guziczek, znajdujący się w rączce, by wnętrze rozjaśniło się mleczno - białym światłem. W mroczne dni deszczowe Amerykanka nie będzie już potrzebowała brodzić w ciemnościach po przez zasnute mgłą ulice Nowego Jorku. Świecący parasol oświetlać będzie jej drogę.

Hodowcy robaków

O farmerach hodujących owce, kury, króliki itp. oczywiście niejednokrotnie słyszeliśmy, ale hodowla robaków to już nowość. Państwo Don Wyatt w Kalifornii założyli właśnie taką farmę. Odbiorcami ich są amatorzy rybołóstwa. W specjalnie przygotowanych gruntach hodują różne rodzaje robaków, ale wyłącznie tych, które mogą służyć jako przynęta dla ryb. W czasie „zbiorów" wygrzebane z ziemi robaki pakuje się do pudełeczek i sprzedaje wędkarzom, nie tylko miejscowym, ale także i tym z odleglejszych okolic. Przy umiejętnym transporcie robaki dojeżdżają żywe nawet do bardzo odległych miejsc przeznaczenia. Farma robaków prosperuje jak dotychczas doskonale, Ameryka jest bowiem krajem zapalonych wędkarzy i nawet prezydent Roosevelt spędza swe urlopy z wędką w ręku.

Zegarek - termometr

Zegarek zaopatrzony w termometr, to najnowszy wynalazek amerykański. Czasomierz noszony normalnie na ręku, wskazuje oprócz godziny także i temperaturę ciała. Będzie to idealna rozrywka dla osób lubiących się martwić o swoje zdrowie. W każdej chwili można przecież sprawdzić, czy się nie ma przypadkiem gorączki, względnie badać, o jakiej porze dnia o ile kresek się podniosła. Prawdopodobnie lekarze nie będą tym nowym pomysłem zachwyceni, jak wiadomo bowiem jest wcale niewskazane, aby ludzie nerwowi mierzyli często gorączkę, bo to ich niepotrzebnie podnieca i wywołuje samo przez się wzrost temperatury.

Paszport na nogach

Pan Rockwell z Portlandu wpadł na dziwny pomysł. Kazał sobie wytatuować na nogach imię, nazwisko, adres, numer telefonu, wiek, zawód i nawet numer polisy asekuracyjnej. Obecnie twierdzi z zadowoleniem, że już nie potrzebuje się niczego obawiać, nawet utraty pamięci, bo gdziekolwiek się znajdzie, zidentyfikowanie go nie będzie stanowiło żadnych trudności. Czy dziwaczny pomysł Amerykanina znajdzie naśladowców, należy wątpić.

Fajka w oku

Inny obywatel zza oceanu pan Langevin zakasował chyba jeszcze pana Rockewella. Pali on mianowicie fajkę przez oko. Fajkę umieszcza na nosie tak mniej więcej jak zakłada się okulary a koniec jej umieszcza w kąciku oka. Paląc, może wypuszczać dym zarówno ustami jak i nosem oraz okiem. Lekarze zainteresowali się oryginalnym palaczem i zbadali go dokładnie. Okazało się, że pan Langevin ma specjalnie szeroki kanał łzowy. Mimo, że mógłby doskonale palić fajkę trzymając ją normalnie w ustach, uparty Yankes dumny z tego, że jest fenomenem natury, nie wyjmuje fajki z oka.

Jak się robi zdjęcie pod wodą

Niejednokrotnie widzimy w filmach sceny z dna morskiego, a więc poławiaczy pereł, zbierających muszle, nurków pracujących przy wydostawaniu zatopionych okrętów, lub sensacyjne momenty walki człowieka z rekinem, czy ośmiornicą. Robienie takich filmów podwodnych wymaga specjalnego urządzenia. Wytwórnie filmowe mają do tego celu statki zaopatrzone w ruchome oszklone kabiny przymocowane do dna. W odpowiednim momencie kabina wraz z siedzącym w niej operatorem wysuwa się na potrzebną w danej chwili głębokość, a artyści-pływacy skaczą ze statku do wody i pływają w obrębie zasięgu aparatu umieszczonego w kabinie. Zjęcia robione przez szybę wychodzą doskonale i oddają z całym realizmem podwodne sceny.

Kobra najinteligentniejszym wężem

Wielu uczonych zajmowało się już i zajmuje badaniami nad inteligencją zwierząt. Pewien uczony amerykański poświęcił się specjalnie badaniom inteligencji węży i przeprowadził mnóstwo doświadczeń nad wszelkimi przedstawicielami tego gatunku. Okazało się, że największym zasobem inteligencji odznaczają się kobry, jedne z najjadowitszych węży na świecie. Kto wie, czy wąż w raju, który skusił Ewę, nie był właśnie kobrą?

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Zwierzyniec pana Paska

Za czasów króla Jana, co Turków bił pod Wiedniem, żył szlachcic — kawał pana, myśliwy wielce przedni.

W Olszówce żył na starość, a zwał się imć pan Pasek; kiedyś się wojną parał, za Czarnieckiego czasów. Aż kiedy przyszły lata i trudom nie poradził, zaczął się z zwierzem bratać na polu, w lesie, w sadzie.

Miał zasię owych zwierząt, złowionych w czas łowiecki, z turzycy, z szczeci, z pióra dom cały Olszowiecki. Były chowane lisy, były chowane dropie, był jastrząb całkiem łysy, borsuk, co jamy kopie, był zając z lisem w zgodzie, bocian z żórawiem — oba, i była także wydra, która się zwała Robak.

O tej to właśnie wydrze opowieść jest ciekawa, jak spała razem z Paskiem, ryby łowiła w stawach, jak jadła, niczem pani, z talerza albo krużki, wymyślne różne dania, a nigdy bez pietruszki!

Oto dzień łowów nastał; zjechała licznie szlachta. Do pana Jana podszedł gajowy — Jacek Płachta. Tłumaczy swemu panu, gdzie lisy mają nory, na których dzisiaj łanach zajęcy będzie sporo, gdzie będą sarny, dziki, a gdzie borsuki, kuny, gdzie zastawiono wnyki na misia, na piastuna.

Pan Jan Chryzostom Pasek do pola hasło daje; migają już myśliwcy, a każdy dzielnie staje. Dziwią się bracia-szlachta, jakie to inne łowy: z chartami — swojskie lisy i szpak, uczony mowy! Zając z dzwonkami skacze, kuna na jaźwcu jedzie, kruk ponad nimi kracze, a jeleń mknie na przedzie. I wydra, słynny Robak, bocian z żórawiem oba i nawet kotmyszołów we własnych mkną osobach.

Więc się stłoczyli razem dokoła pana Paska: — Czy batem, czy rozkazem hodujesz? mów, gdy łaska. Jakich używasz czarów, że słucha cię zwierz wszelki? Że wszelki dziki naród zamieniasz w posłuch wielki?

— Nie czarów ja używam, nie krzyku, ani bata, ale każdego zwierza, o bracia, mam za brata! Kocham stworzenie Boże, zwyczaje znam i chęci. To więcej mi pomoże, niż bat, czy groźba pięści! Zna mnie stworzenie każde, i kocha, i szanuje, bo moje ludzkie serce i zwierzę też miłuje!

Kiwają coś głowami, i wierzą i nie wierzą; tym czasem widzą sami posłuszny szereg zwierząt. Kruk tropi gdzieś zająca, jastrząb — żywego niesie. Wydra znalazła norę borsuka w ciemnym lesie; lis oswojony szczeka, że ma dzikiego brata, a tam ten nie ucieka, ale mu córkę swata.

Nie wiele na tych łowach dziś było krwi rozlewu; dzikie zwierzęta idą za znanym sobie zewem. I wraca pan Jan Pasek w liczniejszym jeszcze poczcie, i śmieje się, i woła: — A nóżek nie przemoczcie! I rad jest swej zdobyczy, rad o wrażenia pyta, i jak gospodarz, liczy obfite kopy żyta.

A gdy wrócili do dom, puhary napełniono; nie bywa nigdy głodu, gdzie serca żywo płoną. Jedzą i piją strzelcy, nadziwić się nie mogą, że leśny zwierz i polny idzie za Paska nogą.

— Czy waćpan jest czarodziej, czy waćpan jest odmieniec? — O, nie! lecz w mej zagrodzie jest zwierzę-brat, nie jeniec!

Juliusz Wirski.

Ratujcie, duch!

Za wsią rozciągał się duży, stary cmentarz. Na cmentarzu rosły drzewa. Niejedno widziały te drzewa. W słoneczne dni i ciemne, ponure noce drzewa nieustannie śpiewały swe pieśni żałobne nad mogiłami.

Ludzie ze wsi opowiadali, że na cmentarzu straszy. Byli tacy, którzy wierzyli w to, byli inni, którzy wyśmiewali się z tych opowiadań.

Pewnego razu stary Wojciech, przechodząc o północy przez cmentarz zauważył, że drzwi kostnicy otworzyły się i na progu ukazało się jakieś wyjące widmo. Wojciech przeżegnał się i zaczął szybko biec. Za sobą słyszał jeszcze okropne wycie widma. Od tego czasu mieszkańcy wsi bali się przechodzić koło cmentarza. Wokół widma tworzyć zaczęli legendy.

Zdarzyło się, że na wieś przyjechał chłopiec imieniem Zbyszek. Zamieszkał on u bogatego wieśniaka Ubiała. Wieczorami w jego domu zbierali się wszyscy wokół córki Ubiała, która opowiadała o duchu błąkającym się po cmentarzu. Zbyszek nie wierzył w to i wyśmiewał się z wszystkich, że wierzą w takie bzdury. Wkońcu poszedł o zakład z Ubiałami. Założył się z nimi, że pójdzie o północy na cmentarz, spotkać się z widmem.

O północy na cmentarzu było cicho. Tylko drzewa rozkołysane przez wicher szumiały tajemniczo. Cmentarz świecił pustkami. Wtem między grobami przesunął się cień. Był to Zbyszek, który chciał spotkać się z duchem. Szedł wolno, przyświecając sobie latarką. Ominąwszy groby szedł środkową aleją. Nagle światło latarki padło na uchylone drzwi kostnicy. Zbyszek stanął w miejscu i czekał. Drzewa szumiały, drzwi kostnicy rozwarły się szeroko i na próg wypadło coś dużego i białego. Zbyszkowi, który wzywał wpierw ducha, włosy stanęły dębem na głowie. A widmo zaczęło wyć. Tego już było zawiele. Zbyszek rzucił latarkę i czapkę i pędem pobiegł przez groby wrzeszcząc w niebogłosy:

— Ratujcie, duch!

Za jego przykładem poszedł duch, wpadając między gromadę. Wszyscy rozbiegli się z trwogą.

Jeden tylko z odważniejszych zapalił latarkę i oświetlił nią wyjącego ducha. — I rozległ się serdeczny śmiech. Towarzysze jego nadbiegli i poczęli spoglądać na niego jak na wariata. Okazało się, że widmem, które od tylu miesięcy straszyło ludzi, był zwyczajny duży biały pies grabarza, co w zimne dni chronił się przed chłodem w kostnicy.

Od tego czasu widmo przestało straszyć.

Elżunia

W pięknym pałacu mieszkała Elżunia. A park, w którym stał ów pałac był tak duży, że Elżunia mogła biegać półtora godziny po ścieżkach, zanim dotarła znowu do przedsionka. Elżunia nigdy nie wychodziła sama z pałacu. Zawsze towarzyszyła jej „miss Daisy", typowa Angielka o podłużnej twarzy i wystających rękach. Miss Daisy była dobra dla Elżuni: nigdy jej nie łajała, niebardzo dręczyła ją nauką słówek angielskich i często opowiadała jej o swym kraju. Elżunia lubiła słuchać tych opowiadań. Nigdy nie buntowała się, gdy miss Daisy żądała czegoś od niej. Ale nie kochała swojej nauczycielki...

Zapytacie dlaczego? Otóż dlatego, a powiem to Wam w sekrecie, że Elżunia właściwie nikogo nie kochała. Zapewne w dzień urodzin małej hrabianki musiał być wielki mróz i wróżka - śnieżka cichaczem wsunęła sopel lodu do serduszka dziewczynki. Zamarzło więc i dlatego Elżunia nie była przywiązana ani do rodziców, których zresztą nieczęsto widywała, ani do miss Daisy. Ani do starego lokaja Włodzimierza, co od lat był w domu jej dziadków, ani do psa Lorda, ani do pięknych lalek i zabawek. Elżunia kochała chyba tylko... siebie.

Źle się dzieje takim ludziom, którzy tylko siebie kochają... To też Elżunia mimo, że byłaby mogła być najszczęśliwszym dzieckiem na świecie, nigdy nie była naprawdę radosna. Nie śmiała się też, to prawda. Ale czyż to przyjemnie ani się nie radować, ani nie smucić? Nie wiem, jak Wy uważacie, ale ja za nic nie chciałabym być takim żywym manekinem.

Lata płynęły. Rosły krzewy i drzewa w parku dookoła pałacu. Ojciec Elżuni stale zajęty był gospodarowaniem i hodowlą koni wyścigowych. Pani hrabina przyjmowała gości i sporo zajmowała się dobroczynnością, natomiast niewiele Elżunią. Miss Daissy coraz mniej uwag zwracała Elżuni, a w kajeciku zapisywała same dobre stopnie swej pupilce. Bo też Elżunia uczyła się bardzo starannie. I pewnie dnie, miesiące i lata byłyby tak spokojnie mijały, gdyby nie wojna... Pewnego pięknego dnia sierpniowego nadleciały samoloty. Jak niewinne srebrne ptaki szybowały pod błękitem nieba... Elżunia stała z miss Daisy nad sadzawką w parku i przyglądały się skrzydlatym gościom. Piekielny huk ogłuszył je. Zaczęły uciekać, nie zdając sobie sprawy, że biegną. Aby nie usłyszeć poraz drugi tego piekielnego hałasu... Zadyszane przystanęły daleko za parkiem. Kiedy oprzytomniały i spojrzały w stronę pałacu, zobaczyły słup oknia... Gore!

„Gore" powtarzał las opodal, „gore", wołali wieśniacy, biegnąc z wiadrami... A wiatr figlarnie igrał nadal liśćmi w parku i groźnie rozpraszał iskry, aż het, na słomiane strzechy we wsi...

Pod wieczór nie było już prawie śladu pałacu... Hrabina, zalewając się łzami, prosiła miss Daisy, aby pojechała z Elżunią do sąsiadów. Hrabia gasił wraz z wieśniakami szkołę we wsi...

Po raz pierwszy Elżunia energicznie oparła się życzeniu miss Daisy. Ale przytuliła się przy tym tak do swej nauczycielki, jak nigdy dotąd. A gdy obejmowała szyję hrabiny, szepcząc: „Nie płacz, mamusiu!", w szepcie tym było tyle serdeczności że hrabina spojrzała zdziwiona na córeczkę. Później, chyba po raz pierwszy w życiu, bardzo gorąco ucałowała swe dziecko.

Elżunia zrozumiała wtedy, jakim szczęściem jest matczyna pieszczota...

Zastanowicie się pewnie: — Czy to nie dziwne, że trzeba było aż tak wielkiego nieszczęścia, aby Elżunia obudziła się z latargu serca!...

Ależ nie! Stała się rzecz całkiem prosta: żar, buchający od zgliszcz, roztopił sopel lodu w serduszku dziewczynki.

I stała się ona pocieszycielką i radością rodziców, a miss Daisy, pomimo, że obecnie hrabia nie ma na wypłacanie pensji Angielce, coraz goręcej kocha swoją uczenicę.

Aniela Anwalska.

Raz swawolny Tadeuszek
znalazł na stole garnuszek.
Tadzio w dobrym jest humorze:
— Co też w garnuszku być może?...

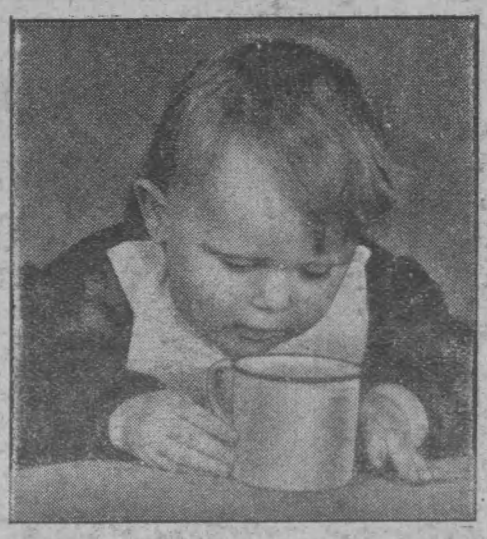

Jakby szepce mu coś w uszku:
Zastanawia się chłopczyna,
Skosztuj nieco, Tadeuszku!
płyn ten nęcić go zaczyna...

Coraz bardziej płyn go kusi...
Że w domu niema mamusi,
stosowna do próby chwila:
Tadek garnuszek przechyla...

Łakomczuch rozczarowany:
poczuł kwaśny smak — śmietany!...
Cóż się to Tadkowi stało?
Patrzcie, całą twarz ma... białą!...

(j. s.)

Z WOJNY NA ZACHODZIE

Przywódca angielskiej opozycji parlamentarnej, mjr. Atlée, zwiedza okopy angielskie na froncie francuskim. (W. c. 38854)

Generał Gamelin dekoruje wielkim krzyżem legii honorowej generałów angielskich, Ironside i Gort'a (W. c. 38759)

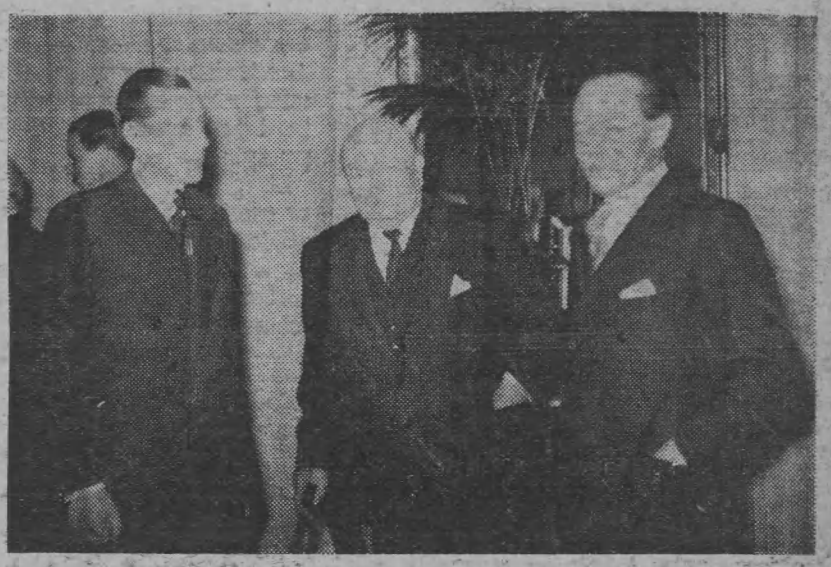

Przyjęcie francusko-brytyjskie w ministerstwie robót publicznych. — Od lewej do prawej: min. kopalń Lloyd, min. de Monzie i ambasador Anglii w Paryżu, Campbell (W. c. 37851)

Żołnierze stają do apelu przed wymarszem na punkt zborny. (W. c. 34978)

Wojna na Dalekim Wschodzie

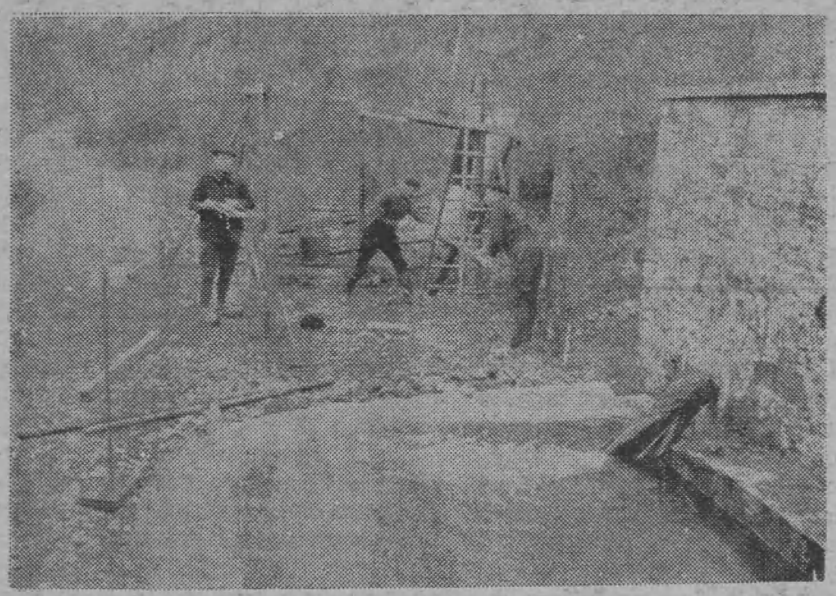

Żołnierze budują budkę odwachową. (W. c. 33231)

Wojska japońskie maszerują poprzez nagie, górzyste okolice Chin — (W. c. I. 5013)

Armata przeciwczołgowa na pozycji. (W. c. 35719)

Oddział japoński, po podłożeniu miny, czeka na wybuch (W. c. B. I. 5011)

Imprimerie „Narodowiec" (M. Kwiatkowski) rue Emile Zola — LENS (Reg. de Com.: Béthune nr. 21231), Le Gerant: Stanisław Ostojak — LENS.